



BLAKE PIERCE

DLACZEGO
ZABIJA

SERIA THRILLERÓW O AVERY BLACK—CZEŚĆ I

Blake Pierce
Dlaczego zabija

«Lukeman Literary Management Ltd»

Pierce B.

Dlaczego zabija / B. Pierce — «Lukeman Literary Management Ltd»,

„Wartka akcja, która wciąga od pierwszego rozdziału do samego końca.” — Midwest Book Review, Diane Donovan (o książce „Zaginiona”) Kolejny bestseller numer 1, mistrzowski thriller pełen psychologicznego suspense autorstwa Blake Pierce. Avery Black, detektyw w Wydziale Zabójstw, przechodzi piekło. Kiedyś w gronie najlepszych adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych, Avery wypada z łask, gdy udaje jej się doprowadzić do uniewinnienia znanego profesora Harvardu, który po uwolnieniu, zabija ponownie. Avery traci męża i córkę, jej życie rozpada się w gruzy. Dążąc do odzyskania tego, co straciła Avery poznaje drugie oblicze prawa — jako policjantka. Błyskawicznie pokonuje kolejne szczeble awansu i dochodzi do Wydziału Zabójstw, ku rozgoryczeniu kolegów funkcjonariuszy, którzy nie są w stanie zapomnieć tego, co zrobiła i którzy zawsze będą ją nienawidzić. Nawet oni jednak nie są w stanie zanegować wybitnej inteligencji Avery. Zatem gdy seryjny morderca sieje postrach w sercu Bostonu zabijając kolejne studentki elitarnych uczelni, o pomoc zwracają się właśnie do niej. Avery uzyskuje szansę na to, aby pokazać swoją wartość i skierować swoje życie na wymarzone tory. Szybko okazuje się jednak, że mierzy się z zabójcą dorównującym jej błyskotliwością i hartem ducha. W psychologicznej zabawie „w kotka i myszkę”, w której kolejne kobiety tracą życie, a morderca zostawia jedynie tajemnicze wskazówki, trudno o wyższą stawkę. Szaleńczy wyścig z czasem prowadzi Avery zaskakującą ścieżką, pełną nieprzewidywalnych zwrotów akcji, aż do punktu kulminacyjnego, którego nawet jej bujna wyobraźnia nie byłaby w stanie wymyślić. „DLACZEGO ZABIJA” — mroczny thriller psychologiczny, pełen mrozącego krew w żyłach suspense, wyznacza początek nowej wciągającej serii literackiej i wprowadza nową, wzbudzącą podziw bohaterkę, zmuszając czytelnika do pochłaniania kolejnych stron książki aż do białego rana. Tom 2 z serii Avery Black dostępny już wkrótce. „Napisany po mistrzowsku thriller! Autor tak doskonale nakreślił postacie i ich wymiar psychologiczny, że czujemy, jakbyśmy myśleli jak one, przeżywali ich strach i cieszyli się ich sukcesami. Niezwykle inteligentnie skonstruowana fabuła utrzymuje w napięciu aż do samego końca.

Liczne zwroty akcji sprawiają, że nie zaśniesz, dopóki nie przeczytasz tej książki do ostatniej strony” — Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (o książce „Zaginiona”)

© Pierce B.
© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

| | |
|-----------------------------------|----|
| Prolog | 7 |
| Rozdział pierwszy | 10 |
| Rozdział drugi | 13 |
| Rozdział trzeci | 15 |
| Rozdział czwarty | 18 |
| Rozdział piąty | 20 |
| Rozdział szósty | 24 |
| Rozdział siódmy | 28 |
| Rozdział ósmy | 33 |
| Rozdział dziewiąty | 36 |
| Конец ознакомительного фрагмента. | 40 |

Blake Pierce

Dlaczego zabija

Blake Pierce

Blake Pierce jest autorem bestsellerowej serii kryminałów o agentce RILEY PAGE, w skład której wchodzi: Zaginiona (cz. 1), Porwana (cz. 2) i Pożądana (cz. 3). Blake Pierce napisał również serię kryminałów o MACKENZIE WHITE.

Blake Pierce był od zawsze zapalonym czytelnikiem i miłośnikiem powieści detektywistycznych i thrillerów. Blake bardzo ceni sobie kontakt z czytelnikami i zachęca do odwiedzenia jego strony www.blakepierceauthor.com, gdzie możesz dowiedzieć się więcej na temat jego twórczości i skontaktować się z nim.

Copyright © 2016 by Blake Pierce. Wszystkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem przypadków dozwolonych na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 r., żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana ani przekazywana w żadnej formie ani w jakikolwiek sposób, ani też przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania, bez uprzedniej zgody autora. Niniejszy e-book jest przeznaczony do użytku prywatnego i nie wolno go odsprzedawać ani rozdawać innym osobom. Jeśli chcą Państwo udostępnić tę książkę innej osobie, należy kupić odrębny egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytają Państwo tę książkę, ale jej nie zakupili, ani nie została ona zakupiona wyłącznie do Państwa użytku, prosimy o zwrócenie jej i nabycie własnego egzemplarza. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy tego autora. Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Imiona, postacie, firmy, organizacje, miejsca i wydarzenia stanowią wytwór wyobraźni autora lub wykorzystano je na potrzeby fikcji literackiej. Jakikolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, jest całkowicie przypadkowe. Prawa autorskie do zdjęcia na okładce należą do milijko. Zdjęcie zostało wykorzystane na podstawie licencji iStock.com.

KSIĄŻKI AUTORSTWA BLAKE PIERCE

SERIA KRYMINAŁÓW O RILEY PAIGE

ZAGINIONA (cz. 1)

PORWANA (cz. 2)

POŻĄDANA (cz. 3)

SERII THRILLERÓW O AVERY BLACK

DLACZEGO ZABIJA (cz. 1)

DLACZEGO UCIEKA (cz. 2)

Prolog

To, aby Cindy Jenkins wyszła z wiosennej imprezy w Atrium, organizowanej przez stowarzyszenie studentek, było prawie niemożliwe. Ogromną salę penthouse'u wyposażono w stroboskopowe światła, dwa dobrze zaopatrzone bary i olbrzymią kryształową kulę rzucającą migoczące błyski na parkiet pełen rozbawionych gości. Cindy przez całą noc tańczyła z wszystkimi, przy tym nie tańcząc z nikim konkretnym. Partnerzy przychodzili i odchodzili, a ona zmysłowo potrząsała rudymi włosami, rzucała zniewalający uśmiech i spojrzenie błękitne niczym niebo do każdej tańczącej osoby, na którą akurat się natknęła. Ta noc należała do niej; świętowała nie tylko fakt, że była dumą Kappa Kappa Gamma, ale przede wszystkim wiele trudnych lat walki o utrzymanie tytułu najlepszej.

Wiedziała, że przyszłość ma już zapewnioną.

Przez ostatnie dwa lata pracowała jako stażystka w dużej firmie audytorskiej w centrum. Niedawno zaoferowano jej stanowisko młodszego konsultanta. Początkowe wynagrodzenie pozwoliło na zakup nowych ubrań najlepszych marek i wynajęcie mieszkania oddalonego zaledwie o kilka przecznic od firmy. A oceny? Najwyższe na roku. Pewnie, musiała jeszcze jakoś przetrwać do oficjalnego zakończenia studiów, ale dla Cindy słowo "przetrwać" nie istniało. Każdego dnia, bez względu na to, czym się akurat zajmowała, angażowała się w stu procentach. Kierowała się regułą: "Pracujesz na całego i bawisz się na całego"; a dziś wieczorem miała ochotę się bawić.

Jeszcze jeden mocny drink "Dreamy Blue Slush", jeszcze jeden toast za Kappa Kappa Gamma, jeszcze jeden taniec – uśmiech zagościł na twarzy Cindy na dobre. W migoczącym świetle stroboskopu poruszała się jakby w zwolnionym tempie. Włosy odrzuciła do tyłu, marszcząc zadarty nos do chłopaka, którego znała od lat, a który chciał ją pocałować.

– Dlaczego nie? – pomyślała. Jeden buziak, nic takiego. Nie wpłynie przecież na jej aktualny związek, a wszyscy się przekonają, że nie zawsze występuje w roli wzorowej prymuski przestrzegającej zasad za wszelką cenę.

Znajomi zauważyli to i przyjęli entuzjastycznymi okrzykami.

Cindy odsunęła się od chłopaka. Taniec, w połączeniu z alkoholem i upałem, zaczął w końcu zbierać swoje żniwo. Zachwiała się lekko i, uśmiechając się cały czas, przytrzymała chłopaka za szyję, by nie upaść.

– Chcesz iść do mnie do domu? – wyszeptał.

– Mam chłopaka.

– To gdzie on jest?

No właśnie – przyszło jej do głowy. Gdzie jest Winston? Nie znosił imprez organizowanych przez stowarzyszenie studentek. Zawsze mówił, że to banda pustych lal, które chleją na umór i zdradzają swoich chłopaków.

– Dobra – pomyślała. – Chyba trzeba się z nim w końcu zgodzić! Pocałunek z przypadkowym chłopakiem, jeśli była w związku z innym facetem, stanowił prawdopodobnie najbardziej gorszą rzeczą jaką zrobiła w życiu.

Jesteś zalana – upomniała samą siebie. – Czas się stąd zbierać.

– Muszę iść – powiedziała niewyraźnie, przeciągając słowa.

– Może zatańczymy jeszcze raz?

– Nie – odpowiedziała. – Naprawdę muszę już iść.

Chłopak z żalem ustąpił. Pożerając lubianą studentkę ostatniego roku Harvardu pełnym pożądania spojrzeniem, wycofał się w tłum, kiwając ręką na pożegnanie.

Cindy zatknęła za ucho spocony kosmyk włosów i, ze spuszczonym wzrokiem, zaczęła schodzić z parkietu. Jej twarz promieniała szczęściem. Rozległa się jej ulubiona piosenka, więc wykonała piruet i zakołysała się wychodząc z tłumy.

- Neeeeeee! – zajęczeli jej znajomi widząc, że zmierza do wyjścia.
- A ty dokąd? – dopytywał się ktoś.
- Do domu. – odpowiedziała.

Przyjaciółka, Rachel, przedarła się przez grupę osób i chwyciła Cindy za rękę. Niska, przysadzista brunetka, chociaż ani nie najładniejsza, ani nie najmądrzejsza spośród znajomych, emanowała agresywnym seksapilem plasującym ją zwykle w centrum uwagi. Miała na sobie srebrną sukienkę tak skąpą, że z każdym jej ruchem odnosiło się wrażenie, że ciało zaraz wyleje się z materiału.

- Nie możesz tak po prostu wyjść. – zakomenderowała.
- Jestem zalana w sztok. – wyjęczała Cindy.

Ale nawet nie było jeszcze żadnego żartu na Prima Aprilis! A to przecież najważniejsza część naszej imprezy! Proszę cię! Zostań jeszcze chwilę!

Cindy pomyślała o swoim chłopaku. Chodzą z sobą od dwóch lat. Tej nocy mieli się spotkać u niej. Wewnętrznie skrzywiła się na myśl o przypadkowym pocałunku na parkiecie. – Jak ja się z tego wytłumaczę? – zastanowiła się.

- Serio – powiedziała. – Muszę iść.

Nawiązując do nieprzyzwoicie zmysłowej natury Rachel, rzuciła znaczące spojrzenie w stronę chłopaka, z którym się całowała i żartobliwie dodała. – Kto wie jak to się skończy, jeśli zostanę?

- Oooo! – wykrzyknęli znajomi.
- Film jej się urywa!

Cindy cmoknęła Rachel w policzek i szepnęła:

- Fajnego wieczoru! Widzimy się jutro.

Skierowała się w stronę drzwi.

Chłodne wiosenne powietrze na zewnątrz sprawiło, że Cindy wykonała głęboki wdech. Wytarła pot z twarzy i w krótkiej, żółtej, letniej sukience w podskokach podążyła Church Street. Wzdłuż przecznicy ciągnęły się niskie budynki z cegły i kilka solidnych domów otulonych drzewami. Skręciła w lewo w Brattle Street, przeszła na drugą stronę i dalej w kierunku południowo-zachodnim.

Na rogach większości ulic paliły się latarnie; tylko część Brattle Street tonęła w mroku. Nie przejmując się tym, Cindy przyspieszyła kroku, szeroko rozpostarła ramiona jakby cienie były w stanie oczyścić jej organizm z alkoholu i zmęczenia i wlać w nią energię potrzebną na randkę z Winstonem.

Doszła do wąskiej alejki po lewej stronie. Instynkt nakazał jej zachować ostrożność. W końcu było bardzo późno. Należało mieć na uwadze, że Boston posiada także swoją mniej bezpieczną stronę. Pozostawała jednak w takim uniesieniu, że trudno było uwierzyć, że istnieje coś, co może stanąć na drodze do jej przyszłości.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Gdy skręciła, było już za późno.

Poczuła nagły ostry ból w szyi. Taki, że wstrzymała oddech. Spojrzała za siebie i zobaczyła błyszczącą w świetle igłę.

Igłę.

Serce zaczęło jej walić jak szalone, a cała radość natychmiast gdzieś uleciała.

Jednocześnie poczuła, że ktoś napiera jej na plecy, a chwyt szczupłej ręki blokuje jej ramiona. Ciało, mniejsze od jej ciała, było silne. Szarpnięciem wciągnięto ją tyłem w alejkę.

- Ciiiiii!

Myśl, że to może być żart, wyparowała w momencie, gdy usłyszała złowrogi, mocny głos. Próbowała kopać i krzyczeć. Z jakiegoś powodu głos utknął jej w krtani, jakby coś spowodowało zwiotczenie mięśni szyi. Poczuła też, że nogi ma jak z waty, z trudem utrzymywała się w pionie.

- Zrób coś! – nakazywała sobie, świadoma, że w przeciwnym wypadku zginie.

Ramię obejmowało prawą stronę jej ciała. Cindy wykręciła się z uścisku, a jednocześnie rzuciła głową w tył, aby uderzyć napastnika w czoło. Jej potylicą trafiła go w nos, prawie usłyszała chrzęst kości. Napastnik zaklął, wstrzymując oddech i puścił ją.

– Uciekaj! – krzyczała w duchu.

Ciało jej jednak nie posłuchało. Kolana ugięły się pod nią. Padła ciężko na beton.

Leżała na plecach, z rozchylonymi nogami i nienaturalnie wykręconymi ramionami, nie będąc w stanie się ruszyć.

Napastnik klęknął przy niej. Twarz zasłaniała mu przekrzywiona peruka, sztuczne wąsy i grube okulary. Oczy za szklami sprawiły, że jej ciałem wstrząsała dreszcz – były zimne i bezlitosne. Bezduszne.

– Kocham cię – powiedział.

Cindy próbowała krzyknąć; z jej gardła wydobył się tylko jakiś gulgot.

Człowiek prawie dotykał jej twarzy. Potem, jakby uświadomił sobie, gdzie są i szybko wstał.

Cindy poczuła chwyt na rękach, a zaraz potem, że ktoś ciągnie ją alejką.

Do oczu napłynęły jej łzy.

W duchu błagała:

– Niech mi ktoś pomoże. Pomocy! Pomyślała o kolegach z roku, przyjaciołach, śmiechu na imprezie. – Pomocy!

Niewielka postać wzięła ją, na końcu ścieżki, na ręce i mocno przytuliła. Głowa Cindy opadła na ramię napastnika, który czule pogładził ją po włosach.

Chwycił ją za rękę i zakręcił się z nią, jakby byli zakochani.

– Wszystko dobrze – powiedział głośno, jakby zwracając się do kogoś innego. – Otworzę tylko drzwi.

Cindy zauważyła w oddali jakichś ludzi. Myślenie sprawiało jej trudność. Nie mogła się poruszyć; próba wydania głosu nie powiodła się.

Niebieski minivan była otwarta od strony pasażera. Wrzucił ją do środka i ostrożnie zamknął za nią drzwi tak, aby głową oparła się o szybę.

Postać wsiadła po stronie kierowcy, pod głowę wsunęła jej miękki worek przypominający poduszkę.

– Śpij, kochanie – powiedział nieznajomy, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Śpij.

Samochód ruszył, a umysł Cindy zapadał się w ciemność. Ostatnią myślą była przyszłość, jej świetlana, niewiarygodna przyszłość, którą tak nagle i tak brutalnie jej odebrano.

Rozdział pierwszy

Avery Black stała z tyłu wypełnionej ludźmi sali konferencyjnej, oparta o ścianę, pogrążona w myślach, jakby usiłowała rozgryźć to, co dzieje się wokół niej. W niewielkim pomieszczeniu tłoczyło się ponad trzydziestu policjantów Komisariatu Policji przy New Sudbury Street w Bostonie. Dwie ściany były pomalowane na żółto; dwie, wykonane ze szkła, wychodziły na pierwsze piętro budynku. Nadkomisarz Mike O'Malley, dobiegający pięćdziesiątki, niski, mocno zbudowany, mieszkaniec Bostonu od zawsze, o ciemnych oczach i ciemnych włosach, chodził tam i z powrotem za usytuowanym na podwyższeniu pulpitem. Avery wydawało się, że jest stale pobudzony do tego stopnia, że czuje się dyskomfortowo we własnej skórze.

– A na koniec – powiedział z charakterystycznym akcentem. – Chciałbym powitać Avery Black w Wydziale Zabójstw.

W sali zabrzmiały wymuszone oklaski zaledwie kilku osób; pozostali zachowali krępującą ciszę.

– Dajcie spokój – zachnął się nadkomisarz. – Nie tak traktuje się nowego detektywa. W zeszłym roku pani Black aresztowała więcej osób, niż ktokolwiek z was. Bez mała własnoręcznie zapuszkowała gości z West Side Killers. No, trochę szacunku! – powiedział i, z dwuznacznym uśmiechem, skinął głową w kierunku siedzących z tyłu.

Avery zwiesiła głowę, wiedząc, że tlenione na blond włosy ukryją jej twarz. Ubrała się bardziej jak prawniczka niż glina, a skrojony na miarę czarny żakiet i spodnie oraz zapinana na guziki bluzka czyli strój stanowiący relikwiarz przeszłości z czasów, gdy była adwokatem, stanowił jeszcze jeden powód, dla którego większość personelu komisariatu policji postanowiła jej unikać albo nabijać się z niej za plecami.

– Avery! – nadkomisarz wznosił ręce do góry. – Próbuję panią jakoś wprowadzić. Pobudka!

Rozejrzała się wokół, zmieszana, po spoglądających na nią wrogo twarzach. W głowie kielkowała jej myśl, czy przyjdzie do Wydziału Zabójstw to rzeczywiście dobry pomysł.

– No dobra, zabieramy się do roboty – dodał nadkomisarz – zwracając się do pozostałych osób w sali. – Avery, widzę panią u siebie, w biurze. Już. Zwrócił się do innego policjanta. – I ciebie też, i ciebie, Hennessey, no ruszać się. A ty, Charlie, dokąd się stąd tak spieszysz?

Avery odczekała, aż tłum funkcjonariuszy wyjdzie i skierowała się do biura. Przed nią stał policjant, ten, którego już widziała na komisariacie, a który oficjalnie się z nią nie przywitał. Ramirez był od niej nieco wyższy, szczupły, o zwracającej uwagę urodzie i ciemniejszej karnacji Latynosa. Miał ciemne, krótkie włosy, gładko ogoloną twarz; elegancki, szary garnitur nie był w stanie zakamuflować egzystencjonalnego luzu, który emanował z jego postawy i wyglądu. Upił łyk kawy i mierzył ją pozbawionym emocji spojrzeniem.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – spytała.

– Sprawy mają się wręcz odwrotnie – odparł. – To ja mam pomóc pani.

Podał jej rękę, ale jej nie przyjęła.

– Próbuję wziąć niesławną Avery Black na celownik. Różne rzeczy tu gadają. Chciałem się przekonać, które z nich są prawdziwe. Jak dotąd mamy dwie: “jej myśli krążą gdzie indziej, zachowuje się, jakby była lepsza od nas wszystkich.” Zgadza się. Jedno i drugie. Nieźle, jak na poniedziałek.

Avery przyzwyczała się już do prowokacyjnych zaczepek ze strony funkcjonariuszy. Zaczęły się trzy lata temu, gdy, jako żółtodziób, wstąpiła do służby. W tym zakresie nic się nie zmieniło. Niewiele osób w wydziale uznawała za kolegów, jeszcze mniej darzyło ją zaufaniem jako współpracownika.

Przemknęła się obok niego.

– Powodzenia z szefem – zawołał sarkastycznie Ramirez. – Słyszałem, że potrafi nieźle dopieprzyć.

W odpowiedzi Avery tylko lekko, z rezygnacją, machnęła ręką. Zbierając doświadczenia latami nauczyła się, że lepiej zauważać obecność wrogo nastawionych partnerów, niż kompletnie ich unikać; wysłać sygnał, że jest na posterunku i nie zamierza rozpląnąć się we mgle.

Pierwsze piętro komendy policji A1 w centrum Bostonu stanowiło dynamiczne, tętniące życiem miejsce, w którym cały czas coś się działo. Środek pomieszczenia wypełniały boksy, a boczne okna zabudowano szklanymi ścianami, tworząc małe wydzielone pomieszczenia / biura. Policjanci gapili się na przechodzącą Avery.

– Morderczyni – wymamrotał ktoś zduszonym głosem.

– Wydział Zabójstw pasuje do ciebie jak ulał, co? – powiedział jeszcze ktoś inny.

Avery minęła irlandzką policjantkę, którą wyrwała z łap gangu. Policjantka rzuciła jej krótkie spojrzenie i wyszeptwała:

– Powodzenia, Avery. Zaslugujesz na to.

Avery uśmiechnęła się:

– Dziękuję.

Pierwsze miłe słowa skierowane do niej tego dnia przywróciły jej pewność siebie, tak potrzebną, gdy szła do biura nadkomisarza. Ku jej zaskoczeniu Ramirez stał parę metrów przed przepierzeniem z szyby. Podniósł kubek z kawą i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Niech pani wejdzie – powiedział szef. – I zamknij za sobą drzwi.

Avery usiadła.

Z bliska O'Malley był jeszcze bardziej przerażający. Jego farbowane włosy rzucały się mocno w oczy; podobnie jak zmarszczki wokół oczu i ust. Pomasażował sobie skronie i rozparł się na krześle.

– Podoba się tu pani? – zapytał.

– Co pan ma na myśli?

– Chodzi mi o to miejsce, A1. Serce Bostonu. Pani znalazła się w samym centrum wydarzeń. Psy w wielkim mieście muszą mieć grubą skórę. Pani pochodzi z małej miejscowości, prawda? Z Oklahomy?

– Ohio.

– No tak, no tak – wymamrotał. – A co w A1 podoba się pani najbardziej? W Bostonie jest mnóstwo innych posterunków. Mogłaby pani rozpocząć od południa, B2, może D14, poczuć smak przedmieścia. Grasuje tam wiele gangów. A pani złożyła podanie tutaj.

– Lubię duże miasta.

– Tutaj mamy prawdziwych psycholi. Na pewno chce się pani znów w to pchać? Do Wydziału Zabójstw. To nie są przelewki!

– Widziałam, jak szef West Side Killers obdziera kogoś żywcem ze skóry, a reszta przygląda się ze śmiechem na ustach. Zatem o jakich “psycholach” mówimy?”

O'Malley obserwował każdy jej ruch.

– Z tego, co słyszałem – powiedział – o tym świrze z Harvardu, grała pani ostro. A on wystawił panią na pośmiewisko. Zniszczył pani życie. Z adwokata-gwiazdy zdegradowano panią do adwokata w niełasce, a potem do pani-nikt. Następnie początkująca policjantka. To musiało zboleć.

Avery skurczyła się na krześle. Czemu musiał to wszystko przywoływać? Dlaczego właśnie teraz? Dzisiaj, gdy świętowała awans do Wydziału Zabójstw i nie chciała sobie psuć tej chwili. A już z pewnością nie chciała grzebać w przeszłości. Co się stało, to się nie odstanie. Mogła tylko spoglądać w przyszłość.

– Ale odkręca to pani – kiwnął w uznaniu głową. – Rozpoczęła tu pani nowe życie. Tym razem po właściwej stronie. Z tego tytułu – szacunek. Ale – powiedział – chcę mieć pewność, że jest pani gotowa. Czyli jak – gotowa?

Wytrzymała spojrzenie zastanawiając się, dokąd on zmierza.

– Jeśli nie byłabym gotowa – rzekła – nie byłoby mnie tutaj.

Kiwnął potakująco głową, wyraźnie zadowolony.

– Właśnie odebraliśmy telefon – powiedział. -Dziewczyna nie żyje. Wyreżyserowana śmierć. Nie wygląda to dobrze. Chłopaki na miejscu zbrodni nie wiedzą, jak to ugryźć.

Serce Avery zabiło szybciej.

– Jestem gotowa – odparła.

– Jest pani? – spytał. – Jest pani dobra, ale jeśli okaże się, że to duża sprawa, chcę mieć pewność, że pani nie pęknie.

– Ja nie pękam – stwierdziła.

– I to właśnie chciałem usłyszeć – powiedział i przesunął jakieś papiery na biurku. – Dylan Connelly kieruje Wydziałem Zabójstw. Teraz pracuje na miejscu z technikami. Acha, ma pani nowego partnera. Proszę nie pozwolić, aby i on zginął.

– To nie była moja wina – obruszyła się Avery i wewnętrznie najeżyła się na myśl o niedawnym dochodzeniu prowadzonym przez Wydział Spraw Wewnętrznych, ponieważ jej były partner – choleryk z uprzedzeniami – pojechał po bandzie starając się infiltrować gang na własną rękę. Aby samemu zebrać chwałę za odwaloną robotę.

Szef wskazał coś na zewnątrz.

– Partner czeka. Pani jest detektywem prowadzącym. Proszę mnie nie zawieść.

Avery obróciła się i ujrzała czekającego Ramireza. Jęknęła.

– Ramirez? Dlaczego właśnie on?

– Szczerze? – Kapitan wzruszył ramionami. – On jako jedyny chciał z panią pracować.

Pozostali najwyraźniej pani nie cierpią.

Poczuła jak kurczy jej się żołądek.

– Jest pani nowa, proszę baczyć na każdy krok – dodał wstając, aby zasignalizować, że spotkanie dobiegło końca. – Przyda się pani każdy kolega, którego uda się pani zdobyć.

Rozdział drugi

– I jak było? – spytał Ramirez, gdy Avery wyszła z biura.

Spuściła głowę i szła przed siebie. Nie znosiła grzecznościowej wymiany zdań, żadnemu koledze – policjantowi nie ufała na tyle, aby mógł z nią rozmawiać, nie narażając się na złośliwości.

– Dokąd idziemy? – odpowiedziała pytaniem.

– Służbowo – Ramirez posłał jej uśmiech. – Warto wiedzieć, jak się sprawy mają. No dobra, Black. Na ławce w Lederman Park nad rzeką mamy martwą dziewczynę. To bardzo uczęszczana okolica. Nietypowe miejsce na pozostawienie ciała.

Policjanci po kolei witali się z Ramirezem.

– Nie popuszczaj jej, stary!

– Weź ją w cugle, Ramirez.

Avery potrząsnęła głową:

– Jak miło! – powiedziała.

Ramirez podniósł ręce.

– Przecież to nie ja.

– To wy wszyscy – skwitowała szyderczo. – Nie przypuszczałam, że komisariat może być gorszy od kancelarii adwokackiej. Tajny klub dla chłopców, co? Żadnych bab.

– Wyluzuj, Black.

Skierowała się do windy. Kilku funkcjonariuszy pogratulowało sobie, że udało się jej dopiec. Zwykle Avery była w stanie to ignorować, ale coś w związku z nową sprawą do głębi nią wstrząsnęło. Słowa, którymi posłużył się nadkomisarz wskazywały, że nie chodziło o proste zabójstwo: Nie wiem, jak to ugryźć. Wyreżyserowana śmierć.

A buńczuczną, pełną dystansu postawę nowego partnera trudno było uznać za kojącą. Wydaje się oczywista. Nigdy nic nie było oczywiste.

Drzwi windy prawie się zamknęły, gdy Ramirez wsunął między nie dłoń.

– Przepraszam, wszystko w porządku?

Wydawał się szczerzy. Dłonie w górze, przeproszające spojrzenie ciemnych oczu. Przycisk był wciśnięty, pojechali w dół.

Avery rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Komisarz powiedział, że jako jedyny chciałeś ze mną pracować. Dlaczego?

– Jesteś Avery Black – odpowiedział, jakby to było oczywiste. – Trudno mi było powstrzymać ciekawość. Nikt tak naprawdę cię nie zna, ale wszyscy wystawiają ci jakąś opinię: idiotka, geniusz, była gwiazda, typ “wstaję i do przodu”, morderczyni, wybawicielka. Chciałem oddzielić fakty od fikcji.

– A co ciebie to obchodzi?

Ramirez uśmiechnął się do niej enigmatycznie.

Nic jednak nie powiedział.

* * *

Avery szła za Ramirezem przez podziemny parking. Bez krawata, dwa górne guziki u koszuli miał rozpięte.

– Stoję tam – pokazał.

Minęli kilku policjantów w mundurach, którzy najwyraźniej go znali; jeden pomachał i posłał mu dziwne spojrzenie, jakby pytał: A ty co masz z nią wspólnego?

Poprowadził ją do zakurzonego, wiśniowego Cadillaca ze starymi, powycieranymi, brązowymi siedzeniami.

– Nie ma to jak komfort jazdy – zażartowała.

– To cudo wyciągnęło mnie z niejednej opresji – pochwalił się i z czułością pogładził karoserię.

– Wystarczy, że ubiorę się jak alfons albo wychudzony Latynos i nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Wyjechali z parkingu.

Lederman Park dzieliło od posterunku zaledwie kilka mil. Pojechali Cambridge Street na zachód i skręcili w prawo w Blossom.

– No więc – powiedział Ramirez – Słyszałem, że kiedyś byłaś prawniczką.

– Taaaa? – Z boku padło na niego pełne rezerwy spojrzenie błękitnych oczu. – To co jeszcze usłyszałeś?

– Adwokat przestępców – dodał – najlepsza z najlepszych. Pracowałaś w firmie Goldfinch & Seymour. Nie jakaś tam firemka. Dlaczego stamtąd odeszłaś?

– A nie wiesz?

– Wiem, że broniłaś różne szumowiny. Niezły dorobek, co? Nawet udało ci się wsadzić za kratki kilku umoczonych policjantów. To musiało być życie! Solidna pensja, niekończący się ciąg sukcesów. Jaki człowiek rzuca coś takiego, żeby wstąpić do policji?

Avery przypomniała sobie dom, w którym dorastała – niewielką farmę otaczającą się w nieskończoność pustką. Samotność nigdy jej nie odpowiadała. Ani zwierzęta, ani zapachy tego miejsca: odchodów, futra i piór. Od początku chciała stamtąd uciec. I udało się – do Bostonu. Najpierw na uczelnię, potem do szkoły prawniczej i do pracy.

A teraz to.

Westchnęła.

– Chyba czasem sprawy przybierają inny bieg, niż planujemy.

– A to co ma znaczyć?

W myślach znów zobaczyła ten uśmiech, stary, złowieszczy uśmiech starego, pokrytego zmarszczkami człowieka w grubych okularach. Początkowo sprawiał wrażenie szczerzej, pełnej pokory, inteligentnej i uczciwej osoby. Uświadomiła sobie, że każdy z nich sprawiał takie wrażenie.

Do zakończenia procesów i powrotu wszystkich do codzienności, była zmuszona akceptować fakt, że nie jest żadnym wybawcą bezbronnych, obrońcą ludu, lecz zwykłym pionkiem w grze zbyt złożonej i ugruntowanej, aby móc coś zmienić.

– Życie jest ciężkie – ciągnęła. – Jednego dnia uważasz, że coś tam wiesz, a kolejnego zasłona opada i wszystko się zmienia.

Przytaknął.

– Howard Randall – powiedział, doznając olśnienia.

To nazwisko uświadomiło jej wszystko – chłodne powietrze w samochodzie, fotel, na którym siedziała, lokalizację w mieście. Nikt go nie wymawiał od dawna, szczególnie w jej obecności. Poczula się słaba i bezbronna, napięła mięśnie i wyprostowała się na siedzeniu.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem ...

– W porządku – ucięła.

Ale nie było w porządku. Po nim wszystko się dla niej skończyło. Życie. Kariera. Zdrowie psychiczne. Praca adwokata stanowiła, eufemistycznie rzecz ujmując, wyzwanie, ale on był osobą, która miała wszystko przywrócić na właściwe tory. Genialny profesor Harvardu – powszechnie szanowany, prostolinijny i uprzejmy, oskarżony o morderstwo. Jego obrona miała być wybawieniem dla Avery. Tym razem to, o czym marzyła od dzieciństwa, miało się ziścić: przeprowadzi obronę niewinnej osoby i zapewni zwycięstwo sprawiedliwości.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Rozdział trzeci

Park został zamknięty dla spacerowiczów.

Dwóch funkcjonariuszy w cywilu zatrzymało samochód Ramireza. Szybkim ruchem ręki kazali opuścić główny parking i przejechać na lewo. Wśród policjantów niewątpliwie z jej wydziału Avery zauważyła kilku z policji stanowej.

– A ci ze stanowej co tu robią? – spytała.

– Stacjonują przy tej ulicy.

Ramirez podjechał do krawężnika i zaparkował obok ciągu radiowozów. Żółtą taśmą odgrodzono sporą część terenu. Zgromadziły się przy niej wozy reporterskie, dziennikarze, gromada biegaczy i parkowych bywalców, aby spróbować podejrzeć, co się dzieje.

– Dalej nikt nie wchodzi – zarządził policjant.

Avery pokazała odznakę.

– Zabójstwa – powiedziała. Po raz pierwszy dotarło do niej, jakie ma teraz stanowisko, a to wypełniło ją dumą.

– Gdzie jest Connelly? – spytał Ramirez.

Funkcjonariusz wskazał w kierunku drzew.

Przeszli przez trawnik, mijając po lewej boisko do baseballa. Na linii drzew natknęli się na więcej żółtej taśmy. Pod gęstym listowiem wzdłuż rzeki Charles River wiła się ścieżka. Przed ławką stał policjant, z technikiem i fotografem.

Avery unikała pierwszego kontaktu z osobami znajdującymi się na miejscu zbrodni. Z upływem czasu stwierdziła, że interakcje z ludźmi ją dekoncentrują, a zbyt wiele pytań i formalności zaburza punkt widzenia. Niestety, to kolejna cecha, która sprowadziła na nią pogardę całego wydziału.

Ofiarą była młoda dziewczyna, którą położono w poprzek ławki. Niewątpliwie już nie żyła, ale z wyjątkiem sinego odcienia skóry, i ułożenie ciała, i wyraz twarzy mogły sprawiać, że przechodnie zastanowiliby się dwa razy zanim przysłoby im do głowy, czy coś jest nie w porządku.

Niczym u kochanki oczekującej na adoratora, ręce dziewczyny umieszczono na oparciu ławki. Broda opierała się na dłoniach. Na ustach gościł figlarny uśmiech. Sylwetka była obrócona, jakby z pozycji siedzącej ruszyła się, by spojrzeć na kogoś lub wydać ciężkie westchnienie. Miała na sobie żółtą, letnią sukienkę i białe klapki. Piękne, rude włosy spływały po jej lewym ramieniu. Palce skrzyżowanych stóp spoczywały lekko na ścieżce.

Jedynie oczy ofiary zdradzały przez co przeszła. Emanował z nich ból i niedowierzanie.

W głowie Avery zabrzmiał głos, głos starego człowieka, którzy prześladował ją dniami i nocami. Mając na myśli własne ofiary zapytał ją kiedyś:

– Kim oni są? Naczyniami, bezimiennymi naczyniami bez twarzy, niewielu wśród milionów, w oczekiwaniu, aż pojawi się jakiś cel.

Poczuła wzbierający w niej gniew, gniew zrodzony z bezradności i poniżenia, a przede wszystkim, z faktu, że całe jej życie legło w gruzach.

Zbliżyła się do zwłok.

Jako prawniczka była zmuszona do studiowania niekończących się ekspertyz kryminalistycznych i zdjęć wykonanych przez koronerów oraz wszystkich innych rzeczy, które dotyczyły sprawy. Teraz do zadań służbowych należała analiza ofiar morderstw, a to zarówno poszerzało jej wiedzę jako policjantki, jak i pozwalało na dokonywanie bardziej rzetelnych ocen

Zauważyła, że sukienka została wyprana, a włosy ofiary wymyte. Paznokcie u rąk i nóg były świeżo opilowane, a gdy wciągnęła w nozdrza zapach skóry, rozpoznała woń kokosa i miodu i ledwie wyczuwalny formaldehyd

– Chcesz to całować czy co? – ktoś zapytał.

Avery pochylała się nad ciałem ofiary, ręce trzymała za plecami. Ławkę oznaczono żółtą tabliczką z numerem "4". Poza tym w okolicy talii dziewczyny znajdował się sztywny, pomarańczowy włos, ledwie zauważalny na żółtym tle sukienki.

Szef Wydziału Zabójstw, Dylan Connelly, stał w nonszalanckiej pozie, oczekując odpowiedzi. Mocno zbudowany, krzepki, o jasnych włosach i przenikliwych, niebieskich oczach. Szeroki tors i ramiona prawie rozrywały szwy niebieskiej koszuli. Miał na sobie brązowe, lniane spodnie. Stopy ginęły w masywnych, czarnych butach. Avery często widziała go w biurze; nie był dokładnie w jej typie, ale, w jakimś wymiarze, przywodził na myśl dzikość zwierzęcia, co akurat podziwiała.

– To miejsce zbrodni, proszę pani. Następnym razem proszę uważać, gdzie pani stąpa. Na szczęście zabezpieczyliśmy ślady i odciski butów.

Zbita z tropu spojrzała w dół. Przecież szła ostrożnie. Popatrzyła mu prosto w stalowoniebieskie oczy, uświadamiając sobie, że Connelly szuka powodu, aby się na niej wyżyć.

– Nie miałam pojęcia, że to miejsce zbrodni – powiedziała. – Dzięki za informację.

Ramirez parsknął śmiechem.

Connelly zacisnął szczękę i zrobił krok w przód.

– Wie pani dlaczego ludzie pani nie znoszą, Black? Ano dlatego, że wbrew pozorom nie jest pani jedną z nas. Poza tym, gdy pani pracowała gdzie indziej, nie żywiła pani szacunku dla policji. A będąc w policji, szanuje ją pani jeszcze mniej. Postawię sprawę jasno, nie lubię pani. Nie ufam pani i za cholerę nie chciałem mieć pani w moim zespole.

Odwrócił się do Ramireza.

– Przekaż jej to, co wiemy. Idę do domu wziąć prysznic. Niedobrze mi – powiedział. Zdjęte rękawiczki cisnął na ziemię. A potem dodał, zwracając się do Avery:

– Oczekuję pełnego raportu na koniec dnia. Punktualnie o piątej. W sali konferencyjnej. Słyszysz pani? Tylko żadnych opóźnień. Acha i posprzątajcie ten śmietnik, zanim wyjedziecie. Policja stanowa grzecznie się stąd zabrała, pozwalając nam pracować. A pani będzie tak miła i okaże im odrobinę uprzejmości.

Connelly, nadęty, odszedł.

– Ty to wiesz jak podejść człowieka – zachwycił się Ramirez.

Avery wzruszyła ramionami.

Technikiem dochodzeniowo-śledczym na miejscu zbrodni okazała się niezwykle zgrabna czarnoskóra Randy Johnson. Miała ogromne oczy i natychmiast wzbudzała sympatię. Krótkie, czarne dredy tylko częściowo ukryła pod białą czapkę.

Avery już się z nią kiedyś zetknęła. Szybko znalazły wspólny język, rozpracowując sprawę związaną z przemocą domową. Ostatnim razem widziały się przy jakiś drinku.

Ucieszona, że będzie pracować z Avery przy kolejnej sprawie Randy wyciągnęła rękę, zarumieniła się, zaśmiała, powiedziała – Oj! – a potem zrobiła głupią minę i stwierdziła – Przecież już mogłam się czymś zarazić.

– Miło cię widzieć, Randy.

– Gratuluję awansu do Zabójstw – powiedziała Randy wykonując lekki teatralny ukłon. – Pniemy się na tym świecie coraz wyżej.

– Od psychola do psychola. A tutaj co mamy?

– Można powiedzieć, że ktoś się zakochał – odparła Randy. – Pięknie ją wyczyścił. Otworzył na plecach. Dokładnie pozbawił wszelkich płynów, wypełnił tak, aby nie zgniła i zaszył. Świeże ubrania. Manicure. Do tego uważny. Na razie żadnych śladów. Dopiero w laboratorium będę mogła stwierdzić, czy mamy coś więcej. Znalazłam tylko dwie rany. Widzisz jej usta? Przypinając mięśnie szpilek od wewnątrz lub używając żelu można osiągnąć efekt, aby włóki trzymały taki uśmiech. Ta rana kluta – wskazała na kącik ust – wskazuje, że to był chyba zastrzyk. A tutaj jest jeszcze jedna – zaznaczyła coś na szyi. – Po zabarwieniu można sądzić, że wykonano ją wcześniej, może podczas porwania. Ciało jest martwe od około czterdziestu ośmiu godzin. Znalazłam kilka interesujących włosów.

– A jak długo ona jest tutaj?

– Rowerzyści znaleźli ją o szóstej – powiedział Ramirez. – Każdej nocy patrol robi obchód parku około północy i o trzeciej nad ranem. Niczego nie zauważyli.

Avery nie mogła oderwać wzroku od martwych oczu dziewczyny. Sprawiały wrażenie, jakby wpatrywały się w coś w oddali, blisko linii brzegowej, po tej stronie rzeki. Ostrożnie przeszła na tył ławki i spróbowała spojrzeć w tę samą stronę. Nieco niżej, przy rzece, stało kilka niskich, ceglanych budynków. Jeden krótki z białą kopułą wieńczącą dach.

– Co to za budynek? – spytała. – Ten wielki z kopułą?

Ramirez zmrużył oczy.

– Chyba kino Omni?

– Czy można się dowiedzieć, co grają?

– Dlaczego?

– Nie wiem, Przeczucie.

Avery wstała.

– Wiemy kim ona jest?

– Tak – odpowiedział Ramirez i zerknął w notatki. – Nazywa się chyba Cindy Jenkins. Ostatni rok Harvardu. Należała do stowarzyszenia studentek Kappa Kappa Gamma. Zaginęła dwa dni temu. Wczoraj wieczorem policja z kampusu i gliny z Cambridge opublikowały jej zdjęcie. Connelly kazał swoim ludziom przejrzeć zdjęcia. Jej pasowało. Czekamy jeszcze na potwierdzenie. Zadzwońię do rodziny.

– A co z monitoringiem?

– Zajmują się tym Jones i Thompson. Znasz ich, prawda? Świetni detektywi. Przypisano ich do nas na dzisiaj. Potem działamy już sami, chyba, że okaże się, że potrzebujemy dodatkowego wsparcia. Nie ma kamer przy wejściu do parku, ale jest kilka na autostradzie i po drugiej stronie ulicy. Dziś po południu powinniśmy już coś wiedzieć.

– Jacyś świadkowie?

– Jak dotąd – brak. Rowerzyści są czyści. Rozejrzę się.

Avery zlustrowała najbliższą okolicę. Żółta taśma okalała sporą część parku. Ani w pobliżu rzeki, ani na ścieżce rowerowej czy trawie nie było niczego nietypowego. Spróbowała stworzyć w głowie obraz wydarzeń. Przejechał główną ulicę samochodem, zaparkował w pobliżu wody, aby łatwiej dotrzeć do ławki. W jaki sposób przeniósł ciało do ławki nie wzbudzając podejrzeń?

Zastanowiła się. Ludzie mogli go obserwować. Musiał się do tego przygotować? Może tak to upozorował, aby wyglądało, że ona żyje? Avery odwróciła się znów w kierunku zwłok. Z pewnością istniała taka możliwość. Dziewczyna, nawet po śmierci, była piękna, niemal eteryczna. Wyraźnie poświęcił mnóstwo czasu i skrupulatnie planował, aby doprowadzić jej wygląd do perfekcji. Uświadomiła sobie, że nie zabił jej gang, ani wzgardzony kochanek. Tutaj było inaczej. Avery widziała wcześniej takie przypadki.

Nagle przyszło jej do głowy czy O'Malley nie miał racji. Może ona nie była jeszcze gotowa.

– Mogę pożyczyć twój wóz? – spytała.

Ramirez podniósł jedną brew.

– A miejsce zbrodni?

Odpowiedziała pewnym siebie wzruszeniem ramion.

– Jesteś już duży. Radź sobie.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Na Harvard.

Rozdział czwarty

Siedział w biurowym boksie – dominujący, zwycięski i najsilniejszy ze wszystkich istot ziemskich. Przed nim stał otwarty ekran komputera. Z głębokim wdechem zamknął oczy i wspominał.

Przywołał obraz przepastnej piwnicy swojego domu, przypominającej bardziej szkółkę roślin ogrodowych. W pomieszczeniu głównym ustawił w szeregu kilka odmian maków: czerwone, żółte i białe. Inne psychodeliczne okazy, przypominające istoty z zaświatów, systematycznie gromadzone od niepamiętnych lat, królowały w długich skrzynkach. Wśród nich przypominające pozaziemskie istoty chwasty i intrygujące kwiatostany. Przez swój niepozorny wygląd wiele z nich nie zwróciłoby niczyjej uwagi w swoim naturalnym otoczeniu, gdyby nie ich działanie. Dzięki sterowanemu systemowi podlewania, miernikowi temperatury oraz światłu LED bujnie się rozrastały.

Długi łącznik z drewnianych bali prowadził do innych pomieszczeń. Na ścianach wisiały zdjęcia. Większość z nich przedstawiała zwierzęta w różnym stadium śmierci, a następnie “odrodzenia” po ich wypchaniu i ustawieniu; bury kot na tylnych łapach podczas zabawy włóczką, leżący na plecach biały pies w czarne cętki, oczekujący, aż ktoś podrapie go po brzuchu.

A następnie drzwi. Wyobraził sobie, że drzwi po lewej są otwarte. Tam, ujrzał to ponownie, jej nagie ciało rozciągnięte na srebrnym stole. Silne, fluorescencyjne światło rozjaśniało przestrzeń. W szklanej szafce znajdowały się liczne słoiki z kolorowymi cieczami.

Poczuł dotyk jej skóry, gdy przesunął palcami po zewnętrznej części uda. W myślach wykonał raz jeszcze każdą, delikatną czynność: usunięcie z jej organizmu płynów, balsamowanie, oczyszczanie i wypychanie. W trakcie ponownych narodzin robił zdjęcia, które później zawisną na ścianach przeznaczonych na ludzkie trofea. Niektóre fotografie już tam były.

Przepłynęła przez niego potężna, surrealistyczna energia.

Unikał istot ludzkich przez całe lata. Wzbudzały w nim strach, były bardziej bezwzględne i niepowstrzymane od zwierząt. A zwierzęta kochał. Stwierdził, że człowiek jest lepszą ofiarą dla Wszechducha. Po śmierci dziewczyny ujrzał otwierające się niebo oraz mglisty cień Wielkiego Stwórcy, który obdarzył go spojrzeniem i rzekł: Więcej.

Z zamyślenia wyrwało go ostre warknięcie.

– Znów gdzieś odpływasz? – gdzieś nad głową usłyszał pomruk niezadowolenia, a na twarzy mówiącego malował się gniew. Z oblicza i postury przypominał byłego zawodnika futbolu amerykańskiego. Jego jaskrawy niebieski strój mógł jedynie potęgować takie skojarzenie.

Pokornie spuścił głowę. Lekko zgarbił ramiona i znów stał się niepozornym, drobnym urzędniczyną.

– Przepraszam pana, panie Peet.

– Mam dosyć tych twoich przeprosin. Dawaj mi liczby.

W duchu zabójca uśmiechnął się niczym zadowolony z siebie gigant. W pracy gra podniecała go podobnie jak w życiu prywatnym. Nikt nie wiedział, jak szczególną był osobą, oddaną i nieodzowną dla zachowania delikatnej równowagi we wszechświecie. W królestwie Nadświata żaden z nich nie zdobyłby honorowego miejsca. Te ich codzienne, prozaiczne, przyziemne zajęcia: ubieranie, spotkania, przemieszczanie kasy z jednego miejsca na drugie – były bez znaczenia. Miały znaczenie tylko dla niego, ponieważ łączyły go ze światem zewnętrznym i pozwalały mu na wykonywanie pracy, do której powołał go sam Pan.

Szef pomarudził i oddalił się w swoim kierunku.

Z zamkniętymi oczami zabójca wyobraził sobie swojego Nadpana: mglistą, ciemną postać, która szeptała do niego nocą i kierowała jego myślami.

Na usta cisnęła mu się pieśń- hołd i cicho zaśpiewał: “Panie, Panie, nasze dzieło jest czyste. Powiedz tylko, a dam ci: Więcej”.

Więcej.

Rozdział piąty

Avery miała jej imię i nazwisko: Cindy Jenkins. Wiedziała coś o stowarzyszeniu studentek Kappa Kappa Gamma. No i dobrze знаła Uniwersytet Harvarda. Renomowaną uczelnię, która odrzuciła jej podanie o przyjęcie, niemniej jednak w trakcie studiów na własnej uczelni udało jej się ponurzać w studenckim życiu Harvardu, jako że chodziła z dwoma studentami, którzy właśnie tam pobierali nauki.

W przeciwieństwie do innych uniwersytetów, stowarzyszenia studentek i studentów Harvardu nie zostały oficjalnie uznane. Ani na terenie kampusu, ani poza nim nie było żadnych placówek studenckich stowarzyszeń oznaczonych greckimi literami. Niemniej regularnie organizowano imprezy w domach lub apartamentach noszących nazwę organizacji lub specjalistycznych “klubów” poza uczelnią. Avery stała się naocznym świadkiem paradoksu życia uniwersytetu w trakcie swoich studiów. Wszyscy udawali skupienie wyłącznie na ocenach do momentu, gdy zaszło słońce i gdy przeistaczali się w nieokiełznanych imprezowiczów.

Stojąc na czerwonym świetle, Avery szybko przejrzała Internet i dowiedziała się, że Kappa Kappa Gamma wynajmowało dwa obiekty w tej samej przecznicy Cambridge: Church Street. Jeden przeznaczono na imprezy, a drugi na spotkania i życie towarzyskie.

Przejechała most Longfellow, politechnikę MIT i skręciła w prawo w Massachusetts Avenue. Harvard Yard pojawił się jej po prawej stronie, pełen majestatycznych budynków z czerwonej cegły wśród drzew i brukowanych ścieżek.

Na Church Street zwolniło się miejsce.

Zaparkowała, zamknęła samochód, podniosła twarz do słońca. To był ciepły dzień, temperatura oscylowała w okolicach 20 stopni. Sprawdziła godzinę. Dziesiąta trzydzieści.

Budynek stowarzyszenia Kappa miał dwie kondygnacje i elewację z klinkierowej cegły. Parter mieścił liczne sklepy z ubraniami. Pierwsze piętro, jak sądziła Avery, zarezerwowano na biura i działalność stowarzyszenia studentek. Jedynym oznaczeniem obok dzwonka na drugie piętro była heraldyczna lilia, symbol Harvardu. Wcisnęła przycisk.

W głośniku intercomu zaskrzeczał kobiecy głos.

– Tak? –

– Policja – warknęła – otwierać.

Na chwilę zapadła cisza.

– Poważnie – powtórzył głos. – Kto to?

– To policja – powiedziała dobitnie. – Wszystko w porządku. Nikomu nic się nie stało. Muszę porozmawiać z kimś ze stowarzyszenia Kappa Kappa Gamma.

Zabrzmiął dzwonek.

Na szczycie schodów Avery powitała śpiąca, mizernie wyglądająca dziewczyna w ogromnej szarej bluzie i białych spodniach od dresu. Ciemnowłosa, sprawiała wrażenie, jakby była po dziwkiej imprezie. Większość jej twarzy zasłaniały kosmyki włosów. Pod oczami widać było ciemne obwódki, a sylwetka, którą zwykle podkreślała z wielką dumą, wydawała się gruba i bezkształtna.

– Czego pani chce? – spytała.

– Spokojnie – odparła Avery. – To nie ma nic wspólnego z działalnością stowarzyszenia. Przyszłam zadać kilka pytań.

– Mogę zobaczyć jakiś identyfikator?

Avery pokazała odznakę.

Dziewczyna zmierzyła Avery wzrokiem, obejrzała odznakę i odsunęła się.

Stowarzyszenie Kappa Kappa Gamma dysponowało dużą, jasną przestrzenią. Pomieszczenie było wysokie. Stało w nim kilka kanap z brązowej skóry i niebieskie pufy w różnych miejscach. Ściany pomalowano na kolor ciemnoniebieski. Był też bar, system nagłaśniający oraz wielki telewizor z

płaskim ekranem. Okna sięgały niemal od podłogi do sufitu. Po drugiej stronie ulicy Avery zobaczyła dach innego kompleksu mieszkań, a nad nim niebo, po którym przesuwały się (pojedyncze) chmury.

Z czasu swoich studiów wyniosła chyba zgoła inne doświadczenia niż większość dziewczyn z Kappa Kappa Gamma. Po pierwsze sama opłacała sobie czesne. Codziennie po zajęciach udawała się do miejscowej kancelarii prawnej i pracowała, awansując od stanowiska sekretarki, po prestiżowe dla studenta stanowisko asystenta prawnika. Podczas studiów rzadko piła. Jej ojciec był nałogowym alkoholikiem. Większość wieczorów w trakcie pobytu na uczelni spędziła w roli kierowcy lub nad książkami w akademiku.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się nadzieją.

– Czy chodzi o Cindy? – spytała.

– Czy to pani znajoma?

– Tak, moja najlepsza przyjaciółka – oparła. – Proszę mi powiedzieć, czy wszystko z nią w porządku?

– Jak się pani nazywa?

– Rachel Strauss.

– Czy to pani zawiadomiła policję?

– Tak. W sobotę Cindy wyszła z imprezy dość zalana. Nikt jej nie widział od tego czasu. A to nie jest do niej podobne.

Przewróciła oczami i uśmiechnęła się, dodając – Zwykle była bardzo przewidywalna. Taka prymuska, no wie pani? Zawsze o tej samej porze w łóżku, codziennie identyczny plan dnia, bez żadnych odstępstw. A jeśli zmiana, to planowana na pięć lat do przodu. W sobotę coś w nią wstąpiło. Piła. Tańczyła. Jakby na chwilę czas się dla niej zatrzymał. Fajnie to wyglądało.

Na moment Rachel odpłynęła wzrokiem gdzieś w dal.

– Wie pani, jaka ona była szczęśliwa!

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – dopytywała się Avery.

– Czy ja wiem? Najlepsza w grupie. Jesienią miała rozpocząć pracę.

– Jaką pracę?

– W firmie Devante? Oni są bodajże najlepsi w Bostonie. Studiowała księgowość. Wiem, nudy, ale ona świetnie sobie radziła z liczbami.

– Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o sobocie?

Do oczu Rachel napłynęły łzy.

– Czyli chodzi o Cindy, prawda?

– Tak – powiedziała Avery. – Czy możemy usiąść?

Rachel opadła na kanapę i rozplakała się.

Szlochając próbowała coś powiedzieć.

– Wszystko z nią w porządku? Gdzie jest?

Tej części Avery najbardziej nie znosiła. Rozmów z krewnymi i znajomymi. Można je było prowadzić tylko w ściśle określonym zakresie. Im więcej ludzie dowiadywali się o sprawie, tym chętniej mówili, co często prowadziło do ustalenia sprawców zbrodni. Na tym etapie nikt niczego nie rozumiał, ani nikomu na niczym nie zależało; wszyscy byli zbyt zdenerwowani. Wszyscy oczekiwali odpowiedzi.

Avery siadła obok niej.

– Bardzo dobrze, że pani zadzwoniła – rzekła. – Właśnie to należało zrobić. Niestety nie mogę rozmawiać o toczącym się dochodzeniu. Mogę natomiast powiedzieć pani, że robię wszystko, co w mojej mocy, aby dowiedzieć się, co się stało tego wieczora z Cindy. Ale sama nie dam rady, potrzebuję pani pomocy.

Rachel skinęła głową i wytarła oczy.

– Mogę pomóc – powiedziała. – Mogę pomóc.

– Proszę powiedzieć co pani pamięta z tamtego wieczoru i o Cindy. Z kim rozmawiała? Czy coś szczególnie zapadło pani w pamięć? Jakies jej uwagi? Ludzie, którzy się nią interesowali? Wszystko, co dotyczy jej wyjścia?

Rachel kompletnie się rozkleiła.

W końcu podniosła rękę, pokiwała głową i wzięła się w garść.

– Tak – powiedziała. – Oczywiście.

– A gdzie się wszyscy podziali? – spytała Avery, aby odwrócić jej uwagę. – Wydawało mi się, że budynki stowarzyszeń wypełniają skacowane dziewczyny w strojach Kappa.

– Są na zajęciach – odparła Rachel i wytarła oczy. – Kilka dziewczyn poszło zjeść śniadanie. A tak przy okazji – dodała – to nie jest tak naprawdę budynek stowarzyszenia, tylko wynajęte pomieszczenie, żebyśmy miały gdzie się podziać, gdy nie chce nam się wracać do akademika. Cindy tu nie bywała. Dla niej to zbyt nowoczesne miejsce. Ona potrzebowała czegoś bardziej domowego.

– Gdzie ona mieszka?

– W mieszkaniu studenckim niedaleko stąd – powiedziała Rachel. – Ale w sobotę wieczorem nie wracała prosto do domu. Miała się spotkać z chłopakiem.

Avery drgnęła.

– Z chłopakiem?

Rachel pokiwała głową.

– Winston Graves, waśniak z ostatniego roku, wioślarz i do tego palant. Nigdy nie rozumieliśmy, dlaczego Cindy się z nim spotyka. A przynajmniej ja nie rozumiałam. Jest przystojny i rodzina ma forsy jak lodu. A Cindy nigdy się nie przelewało. Jeśli ktoś pochodzi z niezamożnego domu to zawsze go to przyciągnie.

– Taaa – pomyślała Avery. – Wiem. Przypomniała sobie, że pieniądze, prestiż i władza wiążące się z pracą w poprzedniej kancelarii prawniczej sprawiły, że poczuła jak bardzo różni się od zahukanej i zdeterminowanej dziewczynki, która wyjechała z Ohio.

– Gdzie mieszka Winston? – spytała.

– Przy Winthrop Square. To bardzo blisko stąd. Ale Cindy nigdy tam nie dotarła. Winston przyszedł w niedzielę wcześniej rano, bo jej szukał. Uznał, że zapomniała o planach i zasnęła. Razem poszliśmy do niej do domu. Tam też jej nie było. Wtedy zadzwoniłam na policję.

– Czy mogłaby pójść gdzie indziej?

– To niemożliwe – stwierdziła Rachel. – To zupełnie nie w jej stylu.

– Jest więc pani pewna, że gdy stąd wyszła, udała się prosto do domu Winstona.

– Z pewnością.

– Czy było cokolwiek, co mogło wpłynąć na to, by Cindy zmieniła plany? Cokolwiek, co wydarzyło się wcześniej tamtego wieczoru, a może nawet pod koniec?

Rachel potrząsnęła głową.

– Nie. A może... – uznała – jednak coś zaszło. Jestem pewna, że to nic wielkiego, ale był taki chłopak, który od lat kochał się w Cindy. Nazywa się George Fine. Przystojny, dobrze zbudowany, samotnik, trochę dziwak – wie pani, o co mi chodzi? Ciągłe ćwiczy i biega wokół kampusu. W zeszłym roku trafiłam z nim do jednej grupy. Żartowaliśmy, że w każdym semestrze, od pierwszego roku, jest w jakiejś grupie z Cindy. Miał fioła na jej punkcie. Był tu w sobotę. Cindy poszła po bandzie i zatańczyła z nim, a nawet się pocałowali. Zupełnie nie w jej stylu. To znaczy, ona chodzi z Winstonek, nie byli oczywiście idealną parą, ale Cindy się upiła i pękły lody. Całowali się, tańczyli, a potem ona wyszła.

– Czy George poszedł za nią?

– Nie wiem – powiedziała. – Naprawdę nie pamiętam, czy widziałam go, gdy Cindy już wyszła, ale być może. Byłam totalnie zalana.

– A pamięta pani, o której godzinie wyszła?

– Tak – powiedziała – dokładnie o drugiej czterdzieści dwie. W sobotę mieliśmy doroczną imprezę z okazji Prima Aprilis, mieliśmy robić świetne żarty, ale wszyscy tak doskonale się bawili, że zapomnieliśmy o tym do momentu wyjścia Cindy.

Rachel zwiesiła głowę. Na chwilę zapanowała cisza.

– No dobrze – powiedziała Avery. – To mi bardzo pomogło. Dziękuję. Oto moja wizytówka. Jeśli coś się przypomni pani albo innym studentkom ze stowarzyszenia i można by coś dodać, to czekam na kontakt. Śledztwo dopiero się rozpoczęło, nawet najmniejszy szczegół może nas naprowadzić na coś istotnego.

Rachel spojrzała jej w twarz oczyma pełnymi łez. Łez, które zaczęły jej spływać po policzkach, choć zachowała spokojny i opanowany głos.

– Ona nie żyje, prawda? – powiedziała.

– Rachel, ja nie mogę...

Rachel skinęła głową, a następnie ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać z rozpacz. Avery pochyliła się nad nią i mocno ją przytuliła.

Rozdział szósty

Na zewnątrz Avery obróciła twarz do słońca i ciężko westchnęła.

Church Street była ruchliwą ulicą, na wielu sklepach zamontowano kamery. Nie mogła uwierzyć, że w takim miejscu mogło dojść do porwania, nawet w środku nocy.

– Którędy mogłaś pójść? – zastanawiała się.

Na telefonie szybko znalazła najkrótszą drogę do Winthrop Square. Przeszła ulicę Church i skręciła w lewo w Brattle. Brattle Street była szersza od Church, z taką samą ilością sklepów. Po drugiej stronie zauważyła kino Brattle Theatre. Z boku budynku biegła wąka alejka, na której znajdowała się kawiarnia. Miejsce zacieniały drzewa. Zaciekawiona Avery przeszła ulicę i weszła na wąski spłachetek pomiędzy budynkami.

Wróciła na Brattle i sprawdziła witrynę każdego sklepu w odległości jednej przecznicy po obu stronach Church Street. Przynajmniej na dwóch z nich zamontowano kamery.

Skierowała się do niewielkiego sklepu z papierosami.

U wejścia zadzwonił dzwonek.

– Czym mogę służyć? – zapytał stary, siwy hipis z dreadami.

Avery powiedziała:

– Zauważyłam, że ma Pan kamerę w witrynie. Jaki ma zasięg?

– Na całą przecznicę – powiedział. — W obu kierunkach. Musiałem zamontować dwa lata temu. Przez tych cholernych studentów. Wszystkim się wydaje, że szczyłe z Harvardu są jakieś wyjątkowe, ale, po prawdzie, to banda takich gnojów, jako wszyscy. Przez lata wybijali mi szyby. Niby, że taki żart, co? Ale nie dla mnie. Wie pani, ile kosztuje wstawienie takich szyb?

– Bardzo mi przykro. Wie pan, nie mam wprawdzie nakazu – powiedziała i pokazała odznakę – ale jacyś cholerni smarkacze chyba coś zmalowali trochę dalej od pana. A tam nie ma kamer. Czy mogłabym spojrzeć na pańskie? Wiem, o której to było. To nie zabierze dużo czasu.

Mężczyzna zmarszczył brwi i coś do siebie wymamrotał.

– Nie wiem – odrzekł. – Muszę pilnować sklepu. Jestem tu sam.

– Wynagrodzę to panu – uśmiechnęła się. – Pięćdziesiąt dolców, może być?

Bez słowa spuścił głowę i wyszedł zza kontuaru. Odwrócił znak na drzwiach zmieniając “otwarte” na “zamknięte”.

– Pięćdziesiąt? – upewnił się. – Proszę wejść!

Zaplecze sklepu było zagracone i ciemne. Wśród pudeł i towaru mężczyzna wskazał ukryty niewielki telewizor. A nad nim, na wyższej półce, podłączony do niego sprzęt elektroniczny.

– Nie korzystam z niego zbyt często – powiedział. – Tylko w przypadku problemów. Nagrania kasują się w każdy poniedziałek wieczorem. A kiedy doszło do tego pani incydentu?

– W sobotę w nocy – powiedziała.

– No to ma pani szczęście.

Włączył telewizor.

Pojawił się czarno-biały obraz miejsca po prawej stronie sklepu. Avery wyraźnie widziała wejście, jak również ulicę po drugiej stronie oraz wejście na Brattle. Miejsce, które szczególnie ją interesowało, znajdowało się około 50 jardów dalej. Zdjęcie było bardziej rozmazane, trudno było wyróżnić kształty przed alejką.

Przy pomocy niewielkiej myszki cofnęła nagranie.

– O której godzinie to się miało wydarzyć? – spytał.

– O drugiej czterdzieści pięć – powiedziała. – ale muszę sprawdzić jeszcze inne godziny. Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym usiadła i sama to zrobiła? Może pan wrócić do sklepu.

W odpowiedzi ujrzała zmarszczone brwi wyrażające nieufność.

– Zamierza mnie pani okraść?

– Jestem z policji – powiedziała. – To wbrew moim zasadom.

– Nie przypomina pani żadnego z policjantów, których znam – zaśmiał się.

Avery wysunęła małe, czarne krzesło. Wytarła kurz i siadła. Szybko zapoznała się ze sprzętem i z łatwością była w stanie przewijać obraz w przód i w tył.

O drugiej czterdzieści pięć kilka osób przeszło w jedną i drugą stronę Brattle Street.

O drugiej pięćdziesiąt ulica zdawała się być pusta.

O drugiej pięćdziesiąt dwie, ktoś, sądząc po włosach i sukience, dziewczyna, wszedł w kadr obrazu od strony ulicy Church. Przeszła Brattle i skręciła w lewo. Gdy minęła kawiarnię, spod drzew wyłoniła się ciemna postać, która stopiła się z nią po czym obie zniknęły. Przez moment Avery mogła jedynie zobaczyć różne zmieniające się odcienie czerni. Po chwili drzewa swój powróciły do swego zwykłego kształtu. Dziewczyna już się nie pojawiła.

– Cholera – wyszeptwała.

Odpięła zgrabny, nowoczesny walkie-talkie z tyłu paska.

– Ramirez – powiedziała do mikrofonu. – Gdzie jesteś?

– A kto mówi? – spytał rwany głos.

– Wiesz, kto mówi. Twój nowy partner.

– Ciągłe w Lederman. Już prawie skończyłem. Zabrali ciało.

– Musisz tu migiem przyjechać – powiedziała, gdzie jest. – Chyba wiem, gdzie Cindy Jenkins została porwana.

* * *

Godzinę później na polecenie Avery wejście do alejki zablokowano z obu stron żółtą taśmą. Przy Brattle Street zaparkował radiowóz i furgonetka ekipy dochodzeniowo-śledczej. Jednego policjanta wyznaczono do przeganiania gapiów.

Alejka przechodziła w szeroką, zacienioną do połowy przecznicy ulicę. Po jednej stronie znajdował się oszklony budynek agencji nieruchomości i rampa załadunkowa. Po drugiej budynki mieszkalne. Był też parking na cztery auta. Na końcu alejki stał jeszcze jeden radiowóz, pociągnięto jeszcze więcej żółtej taśmy.

Avery stała przed rampą.

– Tutaj – powiedziała, wskazując wysoko zawieszoną kamerę. – Musimy dostać nagranie stąd. Należy chyba do agencji nieruchomości. Wejźmy i przekonajmy się, co tam jest.

Ramirez potrząsnął głową.

– Odbiło ci – powiedział. – Na tym nagraniu gównem widać.

– Nie było żadnego powodu, aby Cindy Jenkins miała wchodzić w tę alejkę – powiedziała Avery. – Jej chłopak mieszka zupełnie gdzie indziej.

– Może chciała się przejść – stwierdził. – Chodzi mi o to, że może niepotrzebnie ściągasz tyle osób, jeśli to tylko przecucie

– Ale to nie jest przecucie. Widziałam nagranie.

– Ja też widziałem sporo czarnych plam, z których nic nie wynika – nie ustępował. – Dlaczego zabójca miałby atakować właśnie tutaj? Wszędzie pełno kamer. Musiałby być kompletnym idiotą.

– Chodźmy się przekonać – zaproponowała.

Agencja nieruchomości Top Real Estate była właścicielem oszklonego budynku i rampy załadunkowej.

Po krótkiej rozmowie z ochroną przy recepcji, Avery i Ramirez usłyszeli, że mają poczekać na skórzanej kanapie, aż przyjdzie do nich ktoś z kierownictwa. Po dziesięciu minutach pojawił się szef ochrony i prezes firmy.

Avery uśmiechnęła się do nich najpiękniej, jak potrafiła i przywitali się uściskiem dłoni.

– Dziękujemy, że panowie przysli – powiedziała. – Chcielibyśmy zobaczyć nagranie z kamery umieszczonej bezpośrednio nad rampą załadowniczą. Nie mamy nakazu – zmarszczyła brwi. – Mamy natomiast martwą dziewczynę, którą porwano w sobotę w nocy, najprawdopodobniej przed Państwa tylnym wejściem. O ile czegoś nie znajdziemy, to powinniśmy stąd zniknąć w ciągu dwudziestu minut.

– A jeśli coś się pojawi? – spytał prezes.

– Wówczas okaże się, że podjęli państwo najlepszą możliwą decyzję, udzielając pomocy policji w niezwykle pilnej i delikatnej sprawie. Uzyskanie nakazu może pochłonąć cały dzień. Ciało tej dziewczyny jest martwe od dwóch dni. Ona już nic nie powie. Nie jest w stanie nam pomóc. Za to państwo – jak najbardziej. Bardzo o to proszę. Z każdą zmarnowaną sekundą zacierają się ślady.

Prezes pokiwał głową jakby do własnych myśli i zwrócił się do ochroniarza.

– Zaprowadź ich, Davis – powiedział. – Udostępnij to, co jest im potrzebne. A jeśli pojawią się jakieś problemy – powiedział do Avery – proszę przyjść i mnie znaleźć.

W drodze Ramirez gwizdnął do siebie.

– Przyjemniaczek – powiedział.

– Wszystko jedno – wyszeptała Avery.

Centrum ochrony agencji nieruchomości Top Real Estate okazało się pełnym hałasu pomieszczeniem z ponad dwudziestoma ekranami telewizyjnymi. Strażnik siedział przy czarnym stole i klawiaturze.

– Dobra – rzekł. – Godzina i miejsce?

– Rampa załadownicza. Około drugiej pięćdziesiąt dwie. I proszę przewijać w przód.

Ramirez potrząsnął głową.

– Niczego tu nie znajdziemy.

Agencja dysponowała znacznie lepszymi kamerami, niż te w sklepie z papierosami. Z kolorowym obrazem. Większość ekranów miała podobny rozmiar, ale jeden był szczególnie duży. Strażnik przełączył kamerę z rampy na większy ekran i przewinął obraz w tył.

– Tutaj – krzyknęła Avery. – Stop.

Obraz zatrzymał się na drugiej pięćdziesiąt. Kamera pokazała panoramiczny widok na parking dokładnie naprzeciwko rampy do rozładunku, a także po lewej stronie, w kierunku znaku ślepej uliczki oraz ulicy dalej. Obejmowała tylko częściowo alejkę, która prowadziła w kierunku Brattle. Na parkingu stał jeden samochód – minivan w kolorze ciemnoniebieskim.

– A co tu robi ten samochód? – zdumiał się strażnik.

– Jesteś w stanie odczytać rejestrację? – zastanawiała się Avery.

– Tak, jasne – powiedział Ramirez.

Cała trójka zamarła w oczekiwaniu. Przez chwilę poruszały się jedynie samochody na prostopadłej ulicy. A także drzewa.

O drugiej pięćdziesiąt trzy ukazały się dwie osoby.

Mogli stanowić zakochaną parę.

Jedną osobą był mniejszy mężczyzna, żyłasty i niski, o gęstych, szorstkich włosach, z wąsami i w okularach. Drugą była dziewczyna, wyższa, z długimi włosami. Miała na sobie jasną, letnią sukienkę i sandały. Sprawiali wrażenie, jakby tańczyli. On trzymał ją za rękę i obracał dziewczyną w talii.

– Ja pierdolę – powiedział Ramirez – to Jenkins.

– Ta sama sukienka – rzekła Avery – i buty, i włosy.

– Jest naćpana – zauważył Ramirez. – Spójrz na nią. Stopy ciągną się jej po ziemi.

Patrzyli, jak zabójca otwiera drzwi po stronie pasażera i wsadza dziewczynę do środka. Następnie skręcił odwrócił się, przeszedł na stronę kierowcy, spojrzał prosto w kamerę nad rampą, skłonił się teatralnym gestem i odwrócił do drzwi kierowcy.

– Noż kurna! – zawył Ramirez. – Skurwiel sobie z nami pogrywa!

– Teraz potrzebuję wszystkich – powiedziała Avery. – Thompson i Jones zajmą się całodobową obserwacją. Thompson może zostać w parku. Powiedz mu o minivanie. To zawęzi zakres poszukiwań. Jones ma trudniejsze zadanie. Niech się tutaj stawi i namierzy wóz. Nie interesuje mnie jak to zrobi. Powiedz mu, żeby wyszukał wszystkie kamery, które mogą mu w tym pomóc.

Odwróciła się do Ramireza, który odwzajemnił spojrzenie, zszokowany i pod wrażeniem.

– To mamy naszego zabójcę.

Rozdział siódmy

O godzinie osiemnastej czterdzieści pięć, w trakcie jazdy windą na drugie piętro komisariatu Avery dopadło zmęczenie. Cała energia i impet czerpane z porannych rewelacji pozwoliły jej dobrze przeżyć ten dzień. Niezliczone pytania bez odpowiedzi pozostawiła sobie na noc. Avery miała jasną karnację, więc słońce zdążyło ją nieco spalić, włosy były w nieładzie, a żakiet zwisał jej przez ramę. Wysunięta ze spodni bluzka była już brudna. Natomiast Ramirez sprawiał wrażenie bardziej świeżego niż o poranku: miał zaczesane do tyłu włosy, garnitur prawie idealnie wyprasowany, wzrok wyostrzony, a na czole zaledwie ślad potu.

– Jak ty to robisz, że tak świetnie wyglądasz? – spytała.

– Hiszpańsko-meksykańska krew – wyjaśnił z dumą. – Mogę tyrać przez dwadzieścia cztery, czterdzieści osiem godzin bez przerwy i cały czas dobrze się prezentuję.

Obrzucił na Avery szybkim, nieśmiałym spojrzeniem i jęknął:

– Rzeczywiście, wyglądasz okropnie.

Jego oczy były pełne szacunku.

– Ale udało ci się.

Wieczorem piętro było zaludnione tylko w połowie, ponieważ większość funkcjonariuszy poszła już do domu lub pracowała w terenie. W sali konferencyjnej paliły się światła. Dylan Connelly chodził w kółko, ewidentnie poirytowany. Na ich widok rzucił się do drzwi.

– Gdzieście się, do cholery, podziewali?! – warknął. – Powiedziałem, że chcę mieć raport na biurku o piątej. Wyłączyliście walkie-talkie. Oboje. – podkreślił. – Po pani, Black, mogłem się tego spodziewać. Po tobie już nie, Ramirez. Nikt do mnie nie zadzwonił. Nikt nie odbiera telefonu. Nadkomisarz też jest wkurzony, więc nie idźcie się do niego skarżyć. Wiecie, co się tutaj działo? Co wam, do diabła, przyszło do głowy?

Ramirez podniósł dłonie.

– Dzwoniliśmy – powiedział. – Zostawiłem ci wiadomość.

– Zadzwoniłeś dwadzieścia minut temu – odparował Dylan. – Natomiast ja dzwoniłem co pół godziny od wpół do piątej. Czy ktoś umarł? Goniliście zabójcę? Czy też sam Bóg Wszechmogący zstąpił z nieba, aby wesprzeć was w tej sprawie? Ponieważ to są jedyne odpowiedzi do zaakceptowania na usprawiedliwienie waszej jawnej niesubordynacji. Powinienem was oboje w tej chwili zdjąć z tej sprawy.

Wskazał na salę konferencyjną.

– Do środka.

Avery puściła gniewne pogrożki mimo uszu. Furia Dylana stanowiła dla niej szum w tle, który bez problemu filtrowała. Tę umiejętność opanowała już dawno, w Ohio, gdy musiała wysłuchiwać wrzasków ojca i krzyków na matkę prawie każdej nocy. Zatykała wówczas uszy, śpiewała piosenkę i marzyła o dniu, gdy wreszcie będzie wolna. Teraz ważniejsze sprawy przyciągały jej uwagę.

Na stole leżała popołudniowa gazeta.

Na okładce widniało zdjęcie Avery zaskoczonej, że ktoś ustawił aparat tuż przed jej twarzą. W nagłówku napisano: “Morderstwo w Lederman Park: sprawę seryjnego mordercy bada była adwokat!”. Obok zdjęcia na całą stronę widniała mniejsza nieco podobizna Howarda Randalla, zasuszonego staruszka, seryjnego zabójcy z koszmarów sennych Avery, w okularach jak denka od butelek po coca-coli i uśmiechniętym obliczu. Nad zdjęciem widniał nagłówek: “Nikommu nie ufać: ani adwokatowi ani policji.”

– Widziała to pani? – zajączał Connelly.

Podniósł gazetę i z furią rzucił ją z powrotem na stół.

– Jest pani na pierwszej stronie! Pierwszy dzień w Zabójstwach i już pani jest na pierwszej stronie gazety – znowu. Zdaje sobie pani sprawę, że to jest totalny brak profesjonalizmu? Nie, nie –

uprzedził widząc wyraz twarzy Ramireza – ty już się w ogóle nie odzywaj. Oboje to speprzyłiście. Nie wiem, z kim rozmawialiście dziś rano, ale spuściliście lawinę gówna. Skąd Harvard dowiedział się o śmierci Cindy Jenkins? Na stronie Kappa Kappa Gamma zamieścili już wspomnienie o niej!

– Ktoś połączył ze sobą fakty? – powiedziała.

– Kurwa mać, Black! Wylatuje pani ze sprawy. Słyszysz pani!?

Kapitan O'Malley wsunął się do pokoju.

– Chwila – zaproponował Ramirez. – Tak nie można. Nie wiesz, co zdobyliśmy.

– Nie obchodzi mnie, co zdobyliście – wrzasnął Dylan. – Ja jeszcze nie skończyłem. No coraz lepiej. Godzinę temu dzwonił burmistrz. Grywał w golfa z ojcem tej Jenkins i chciał się dowiedzieć dlaczego była pani adwokat, która doprowadziła do uwolnienia seryjnego mordercy z więzienia, prowadzi sprawę zabójstwa córki dobrego znajomego.

– Uspokój się – powiedział O'Malley.

Dylan, z rumieńcem na twarzy i otwartymi ustami, wykonał gwałtowny obrót. Na widok przełożonego, który choć niższy i cichy, sprawiał wrażenie podminowanego i gotowego do wybuchu, spuścił z tonu.

– Z jakiegoś powodu – ciągnął opanowanym głosem O'Malley – ta sprawa wymknęła się spod kontroli. Chciałbym się zatem dowiedzieć, co państwo robili dziś przez cały dzień, o ile nie masz nic przeciwko temu, Dylan?

Connelly wymamrotał coś pod nosem i odwrócił się.

Komisarz kiwnął głową na Avery.

– Niech się pani tłumaczy.

– Nie podałam nikomu nazwiska ofiary – odrzekła Avery. – Ale rozmawiałam z dziewczyną z Kappa Kappa, przyjaciółką Cindy Jenkins, Rachel Strauss. Pewnie dodała jedno do drugiego. Przepraszam – spojrzała na Dylana przepraszająco i szczerze. – Kurtuazyjne rozmowy nie są moją mocną stroną. Poszukiwałam odpowiedzi i je uzyskałam.

– Powiedz im – ponaglił Ramirez.

Avery obeszła stół konferencyjny.

– Mamy seryjnego mordercę podanego na widelcu.

– No na pewno! – skwitował drwiąco Dylan. – Skąd niby ona może to wiedzieć? Jest zaangażowana w sprawę dopiero jeden dzień. Mamy jedną martwą dziewczynę. To przecież niemożliwe.

– Zamkniesz się wreszcie? – wrzasnął O'Malley.

Dylan przygryzł dolną wargę.

– To nie jest zwykłe morderstwo – powiedziała Avery. – Tyle sam nam pan powiedział, komisarzu, a my też to zauważyliśmy – zwróciła się do Dylana. – Ofiara wyglądała, jakby żyła. Najwyraźniej zauroczyła naszego mordercę. Na ciele nie było żadnych siniaków, żadnego gwałtu, można wykluczyć gangi czy przemoc domową. Technicy potwierdzili, że nafaszerowano ją jakimś silnym, ale naturalnym środkiem znieczulającym, który morderca mógł sam spreparować. Może wyciąg z jakiś kwiatów wywołujący natychmiastowy paraliż, a następnie powolną śmierć. Przy założeniu, że hoduje te rośliny gdzieś pod ziemią potrzebuje oświetlenia, systemu nawadniania, żywienia. Wykonałam parę telefonów, aby dowiedzieć się, skąd się przywozi nasiona, gdzie się je sprzedaje oraz jak dostać taki sprzęt w swoje ręce. Chciał mieć ofiarę, gdy jeszcze żyła, chociaż na chwilę. Nie byłam pewna dlaczego aż do momentu, gdy nie złapaliśmy go na nagraniu z kamery.

– Co? – wyszeptał O'Malley.

– Mamy go – powiedział Ramirez. – Nie ma się wprawdzie jeszcze z czego cieszyć. Zdjęcia są rozmazane i trudno na nich coś zobaczyć, ale całe porwanie można obejrzeć na dwóch, niezależnych kamerach. W niedzielę rano Jenkins wyszła z imprezy parę minut po wpół do drugiej i udała się do domu swojego chłopaka. Mieszka pięć przecznic od siedziby Kappa Kappa Gamma. Avery przeszła

tę samą trasę, którą, w założeniu, pokonała Jenkins. Kto wie, co ją do tego skłoniło, ale intuicja nakazała jej sprawdzić kamery systemu ochrony w pobliskim sklepie z papierosami.

– Do tego potrzebny jest nakaz – wtrącił się Dylan.

– Tylko, jeśli ktoś o niego poprosi – odparła Avery. – Czasami przyjazny uśmiech rozmowa czynią cuda. W ciągu ostatniego roku ten sklep był niszczonej przez wandalów dziesięć razy – ciągnęła. – Ostatnio zamontowano więc kamerę na zewnątrz. Sklep stoi naprzeciw alejki, mniej więcej w połowie przecznicy poniżej, ale widać wyraźnie, że dziewczyna, a sądzę, że to była Cindy Jenkins, została napadnięta pod drzewami.

– Wtedy do mnie zadzwoniła – kontynuował Ramirez. – Uznałem, że oszalała. Poważnie. Obejrzałem nagranie i wszystko stało się jasne. Black, natomiast, kazała zadzwonić po techników i ściągnąć na miejsce cały zespół. Można sobie wyobrazić, jak byłem wkurzony. Ale – ciągnął ze wrokiem pełnym przejęcia – ona miała rację. Jest jeszcze jedna kamera przy rampie załadowniczej, z tyłu alejki, Poprosiliśmy agencję, aby pozwolono nam zobaczyć, co się nagrało. Zgodzili się i “bum” – powiedział i szeroko rozpostarł ramiona. – z alejki wychodzi facet niosąc naszą ofiarę. W tej samej sukience. W tych samych butach. Jest drobny, niższy od Cindy, tańczy. Trzymał ją i tańczył. Była wyraźnie naćpana. Powłóczyła stopami i tak dalej. W pewnym momencie on nawet spojrzał do kamery. Ten chory pojeb robił sobie z nas jaja. Wsadził ją na przednie siedzenie minivana i odjechał jakby nigdy nic. To był chyba Chrysler, granatowy.

– Tablice rejestracyjne? – spytał Dylan.

– Fałszywe. Już to sprawdziłem. Musiał mieć nakładkę. Zbieram wykaz Chryslerów w takim kolorze sprzedanych w okresie ostatnich pięciu lat w obrębie pięciu hrabstw. Trochę to potrwa, ale może będzie możliwość zawężenia listy uzupełniając ją o więcej informacji. Acha, gość miał przebranie. Trudno było zobaczyć twarz przez włosy, prawdopodobnie perukę i okulary. Możemy tylko określić wzrost, jakieś metr sześćdziesiąt siedem lub metr siedemdziesiąt. I może kolor skóry – biały.

– A gdzie są taśmy? – spytał O'Malley.

– Na dole u Sary – odparła Avery. – Powiedziała, że to trochę potrwa, ale spróbuje sporządzić portret zabójcy na podstawie tego, co zobaczy do jutra. Portret pamięciowy będzie można porównać z naszymi podejrzanymi i przejrzeć bazę danych, żeby zobaczyć, co znajdziemy.

– Gdzie są Jones i Thompson? – spytał Dylan.

– Mamy nadzieję, że jeszcze w pracy – powiedziała Avery. – Thompson nadzoruje park. Jones stara się namierzyć minivana z alejki.

– Do czasu naszego wyjazdu – dodał Ramirez – Jones znalazł przynajmniej sześć różnych kamer w odległości dziesięciu przecznicy, które mogą być dla nas pomocne.

– Nawet jeśli zgubimy samochód – powiedziała Avery – możemy przynajmniej zawęzić kierunek. Wiemy, że skręcił z alejki na północ. W połączeniu z tym, co Thompson znajdzie w parku, możemy wydzielić trójkąt terenu i przechodzić od domu do domu, jeśli zaistnieje taka konieczność.

– A jakieś ślady? – spytał O'Malley.

– W alejce niczego nie było – powiedziała Avery.

– I to tyle?

– Mamy też kilku podejrzanych. Noc przed porwaniem Cindy spędziła na imprezie. Był tam chłopak – George Fine. Najwyraźniej od lat łąził za Cindy; uczęszczał na te same zajęcia, niby przypadkowo wpadał na nią na imprezach. Po raz pierwszy pocałował Cindy, tańczył z nią przez całą noc.

– Rozmawiała z nim pani?

– Jeszcze nie – powiedziała patrząc wprost na Dylana. – Chciałam uzyskać pańską akceptację zanim Uniwersytet Harvarda zatrzęsie się w posadach.

– Dobrze, że zostało w pani choć trochę chęci trzymania się protokołu – ironizował Dylan.

– Poza tym jest jeszcze jej chłopak – zwróciła się do O'Malley'a. – Winston Graves. Cindy miała tej nocy udać się do niego. Ale już tam nie dotarła.

– Zatem mamy dwóch potencjalnych podejrzanych i auto do namierzenia. Jestem pod wrażeniem. No jestem pod wrażeniem. A co z motywem? Czy zastanowiła się pani nad tym choć chwilę?

Avery odwróciła wzrok.

Film, który zobaczyła, jak również ułożenie i przygotowanie zwłok ofiary wskazywały na osobę, która kochała swoją pracę. Osobę, która robiła to już wcześniej i robi to kolejny raz. Która chciała pokazać swoją siłę, ponieważ niezbyt przejmowała się policją. Teatralny ukłon w do kamery mówił aż za wiele. To wymagało odwagi lub świadczyło o głupocie; natomiast jeśli chodzi o porzucenie zwłok lub porwanie, nic nie wskazywało na błędną ocenę sytuacji.

– Bawi się z nami – powiedziała. – To, co robi, sprawia mu przyjemność i chce to powtórzyć. Twierdzę, że ma jakiś plan. To nie jest koniec.

Dylan parsknął i potrząsnął głową.

– Niedorzeczne – wysyczał.

– No dobrze – powiedział O'Malley. – Avery, jasne jest, że jutro będziesz rozmawiała z podejrzаныmi. Dylan, skontaktuj się z Harvardem i przetrzyj jej drogę. Dziś wieczorem skontaktuję się z szefem i powiem, co mamy. Postaram się też zdobyć jakieś czyste blankiety nakazów, przydadzą się do kamer. Niech Thompson i Jones będą w pogotowiu. Dan, wiem, że pracujesz od rana. Jeszcze jedna rzecz i jesteś wolny. Zdobądź adresy tych dwóch chłopaków z Harvardu, chyba, że już je masz. Wstąp do nich w drodze do domu. Sprawdź co z nimi. Nie chcę, aby ktoś nam czmychnął.

– Mogę to zrobić – zaofiarował się Ramirez.

– Dobra – przyklasnął O'Malley. – To do roboty. Świetnie się oboje spisaliście. Avery i Dylan, zostańcie jeszcze chwilę.

Ramirez wskazał na Avery.

– Podjechać po ciebie jutro rano? Ósma? Przyjedziemy razem?

– Jasne.

– Będę cisnął Sarę o te portrety. Może ona coś będzie miała.

Niespodziewana chęć partnera do niesienia pomocy, z własnej inicjatywy, bez żadnych podpowiedzi, stanowiła dla Avery nowość. Inni, z którymi pracowała w parze od czasu wstąpienia do służby, najbardziej chcieli pozostawić jej zwłoki w jakimś rowie.

– Świetnie – powiedziała.

Po wyjściu Ramireza O'Malley polecił Dylanowi usiąść po jednej stronie stołu konferencyjnego, a Avery po drugiej.

– Posłuchajcie mnie – powiedział cichym, ale stanowczym głosem. – Dziś zadzwonił do mnie szef i spytał, co sądzę o przekazaniu sprawy znanej i niesławnej byłej pani adwokat, specjalistce w sprawach karnych. Avery, powiedziałem mu, że jest pani dobrą policjantką do tej roboty i będę się trzymał swojej decyzji. To, co dziś pani zrobiła, tylko to potwierdza. Natomiast dochodzi w pól do ósmej, a ja wciąż tu tkwię. W domu czeka na mnie żona i trójka dzieci. Za wszelką cenę chcę wyjść, побыć z nimi i zapomnieć na chwilę o tym godnym politowania miejscu. Oczywiście żadne z was nie ma takich problemów, więc pewnie nie rozumiecie, co do was mówię?

Odważemniła jego spojrzenie w zamyśleniu.

– Dogadajcie się jakoś i przestańcie zawracać mi głowę pierdołami! – warknął.

W pomieszczeniu zapadła pełna napięcia cisza.

– Dylan, zacznij wreszcie być szefem! Nie przychodź do mnie z każdym, najmniejszym drobiazgiem! Naucz się kierować ludźmi na własną rękę. A pani – zwrócił się do Avery – niech skończy z idiotycznymi humorami i zacznie się zachowywać, jakby pani raz na czymś zależało, bo wiem, że pani zależy.

Patrzył na nią długą chwilę.

– Czekaliśmy na panią z Dylanem przez długie godziny. Chce pani wyłączać radio? Nie odbierać telefonów? Sądzi pani, że to pomaga? Świetnie! Niech pani tak robi dalej. Tylko jeśli dzwoni do pani przełożony, to się oddzwania. Jeśli to się powtórzy, zdejmę panią ze sprawy. Zrozumiano?

Avery z poczuciem winy przytaknęła.

– Rozumiem – rzekła.

– Jasne – Dylan pokiwał głową.

– To dobrze – powiedział O'Malley.

Wyprostował się i uśmiechnął.

– No dobra, powinienem to zrobić już wcześniej, ale się nie udało, zatem zrobimy to teraz. Pani Avery. Niech pani pozwoli, że przedstawię Dylana Connelly'ego, rozwiedzionego ojca dwójki dzieci. Dwa lata temu odeszła od niego żona, ponieważ nie wracał do domu i zbyt dużo pił. Teraz ona mieszka z dziećmi w Maine, a Connelly ich nie może widywać, więc jest cały czas wkurzony.

Dylan zeszytniał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

– Dylan? Przedstawiam ci Avery Black, byłego adwokata w sprawach karnych, która dała ciała i doprowadziła do wypuszczenia z więzienia najstraszliwszego seryjnego mordercę na świecie, prosto na ulice Bostonu. Facet zabił ponownie i zrujnował jej życie. Ona odeszła z firmy o milionowych obrotach, od męża, i dzieciaka, który ledwie się do niej odzywa. Podobnie jak ty topi swoje smutki w pracy i alkoholu. No i proszę? Więcej was łączy, niż wam się wydaje.

Nagle całkowicie spowaźniał.

– Jeśli jeszcze raz wystawicie mnie na pośmiewisko, obydwójce wylatujecie ze sprawy.

Rozdział ósmy

Pozostawieni w sali konferencyjnej Avery i Dylan siedzieli przez kilka chwil naprzeciw siebie w zupełnym milczeniu. Oboje trwali w bezruchu. Dylan nisko zwiesił głowę. Twarz wykrzywił mu grymas, najwyraźniej nad czymś rozmyślał. Avery po raz pierwszy odczuła względem niego współczucie.

– Wiem, jak to jest... – zaczęła.

Dylan poderwał się tak szybko i gwałtownie, że krzesło przechyliło się w tył i uderzyło o ścianę.

– Moim zdaniem to niczego nie zmienia – powiedział. – Nie jesteśmy ani trochę podobni.

Chociaż sugestywny język jego ciała wskazywał na złość i chęć zachowania dystansu, oczy mówiły co innego. Avery była pewna, że jest na granicy załamania. Coś, co powiedział kapitan mocno go dotknęło, podobnie, jak ją. W dwójkę byli naznaczeni niepowodzeniem, samotni. Sami.

– Posłuchaj – rzekła. – Tak tylko pomyślałam.

Dylan odwrócił się i otworzył drzwi. Gdy wychodził, jego profil tylko potwierdził jej obawy; w przekrwionych oczach lśniły łzy.

– Niech to szlag – wyszeptła.

Najgorsze dla Avery były wieczory. Nie miała kręgu stałych znajomych, praca stanowiła jej jedyne hobby, jej zmęczenie osiągnęło taki stopień, że nie była sobie w stanie wyobrazić, że miałaby pracować w terenie jeszcze więcej. Siedząc samotnie przy wielkim stole z jasnego drewna nisko spuściła głowę w obawie przed tym, co ją czeka dalej.

Gdy wychodziła z biura, spotkało ją to, co zawsze. Atmosfera napięcia wisiała w powietrzu, a artykuł z pierwszej strony tylko ośmielił większą niż zwykle grupę funkcjonariuszy.

Ktoś zawołał: – Hej, Black, śliczna buźka.

Inny postukał palcem w zdjęcie Howarda Randalla.

– Piszą tutaj, że byliście bardzo blisko. Kręci cię gerontofilia? A wiesz, co to znaczy? To znaczy, że lubisz się pierdolić ze staruchami.

– Bardzo śmieszne – Uśmiechnęła się i wymierzyła w ich kierunku palce ułożone na kształt pistoletu.

– Pierdol się, Black.

* * *

Białe BMW – pięcioletnie, brudne i zużyte – zaparkowała na zamkniętym parkingu. Avery kupiła je u szczytu adwokackiej kariery.

– Chyba oszalałam? – pomyślała. – Co mnie skłoniło, żeby kupować biały samochód?

Sukces – przypomniała sobie. Białe BMW było jasne i przyciągało uwagę, a ona chciała, aby wszyscy wiedzieli, kto tu rządzi. Teraz przypominało jedynie o tym, jak bardzo życie jej się nie poukładało.

Mieszkanie Avery mieściło się przy Bolton Street w południowej części Bostonu. Miała dwa pokoje na pierwszym piętrze dwukondygnacyjnego budynku. Oczywiście doszło do zmiany na gorsze – przeniósła się z dawnego, usytuowanego na najwyższych piętrach drapacza chmur, penthouse'u, ale obecne mieszkanie było przestronne i czyste, z ładnym tarasem, na którym mogła usiąść i odpocząć po ciężkim dniu w pracy.

Przestronny salon wyłożony był włochatą wykładziną w brązowym kolorze. Kuchnia znajdowała się po prawej stronie drzwi wejściowych, a od reszty pokoju oddzielały ją dwie wielkie kuchenne wyspy. Nie miała roślin ani zwierząt. Północne usytuowanie mieszkania sprawiało, że

zwykle panował w nim półmrok. Avery rzuciła na stół klucze, a potem resztę rzeczy: pistolet, kaburę z szelkami, walkie-talkie, odznakę, pas, telefon i portfel. Rozebrała się w drodze do łazienki.

Po długim prysznicu, w którym mogła sobie przemyśleć wydarzenia dnia, włożyła szlafrok, wyjęła piwo z lodówki, potem wzięła telefon i udała się na taras.

Komórka pokazywała prawie dwadzieścia nieodebranych połączeń, uzupełnionych o dziesięć nowych wiadomości. W większości od Connelly'ego i O'Malley'a. Słysząc było mnóstwo wrzasków.

Czasem Avery stawała się tak skoncentrowana i ukierunkowana na obrany cel, że nie odbierała telefonu od nikogo, kto nie był niezbędny do realizacji zadania, zwłaszcza, gdy wszystkie elementy nie zostały złożone w jedną całość; dzisiejszy dzień zdecydowanie do takich należał.

Przewinęła wykaz ostatnio wybieranych numerów, a potem wszystkich osób, które do niej dzwoniły w ciągu ostatniego miesiąca. Nie było wśród nich ani jej córki, ani eksmęża.

Nagle do nich zateęskniła.

Wybrała numery.

Telefon wykonał połączenie.

Automatyczna sekretarka przekazała: "Cześć, tu Rose. Nie mogę teraz odebrać telefonu, ale jeśli zostawisz krótką wiadomość, przedstawisz się i podasz swój numer, oddzwonię najszybciej, jak będę mogła. Bardzo dziękuję." Biiiiip.

Avery rozłączyła się.

Przez chwilę bawiła się myślą, aby zadzwonić do Jacka, byłego męża. Był dobrym człowiekiem, chłopakiem z uczelni, któremu trudno zarzucić posiadanie jakichś wad, osobą pod każdym względem przyzwoitą. Gdy miała osiemnaście lat przeżyli gwałtowny romans i to ona, pełna pychy po zdobyciu upragnionej pracy, wszystko zepsuła.

Przez lata obwiniała innych o rozpad związku i rozluźnienie relacji z córką; Howarda Randalla o kłamstwa, swojego dawnego szefa, pieniądze, poczucie władzy oraz wszystkie te osoby, z którymi nieustannie musiała się liczyć i które musiała mamić, aby pozostawać o krok przed nimi w drodze do prawdy. Stopniowo jej klienci stawali się mniej wiarygodni, ale ona chciała iść naprzód, ignorować prawdę, naginać sprawiedliwość w jedną lub drugą stronę, po prostu po to, by zwyciężyć.

– Sprawa za sprawą – tak sobie powtarzała. – Kolejnym razem będę bronić kogoś, kto był naprawdę niewinny i naprawię swoją reputację.

I tak miało być w przypadku Howarda Randalla.

– Jestem niewinny – płakał podczas ich pierwszego spotkania. – Ci studenci są całym moim życiem. Jak mógłbym skrzywdzić kogoś z nich?

Avery mu uwierzyła i po raz pierwszy w życiu uwierzyła również w siebie. Randall był światowej sławy psychologiem z Harvardu, przekroczył sześćdziesiątkę, nie miał motywu i nie przejawiał w przeszłości zachowań świadczących o nieźrównoważeniu. Co więcej, sprawiał wrażenie słabego i załamane, a Avery zawsze chciała bronić kogoś słabego.

Doprowadzenie do jego uniewinnienia stanowiło przełomowy moment jej kariery, szczyt szczytów, oczywiście do momentu, gdy celowo zabił ponownie, aby zrobić z niej żywą ilustrację kłamstwa.

Avery chciała się tylko dowiedzieć: dlaczego?

– Dlaczego pan miałby pan coś takiego zrobić? – spytała go, gdy już był za kratkami. – Dlaczego kłamałby pan i wrabiał mnie po to, aby do końca życia siedzieć w więzieniu?

– Ponieważ wiedziałem, że można panią ocalić – odparł Howard.

– Ocalić – pomyślała Avery.

– Czy to jest ocalenie? – myślała rozglądając się wokół. – Tutaj? Teraz? Bez znajomych? Bez rodziny? Z piwem w dłoni i nowym życiem polegającym na polowaniu na zabójców, aby dokonać zadośćuczynienia za swoją przeszłość?

Pociągnęła łyk ze szklanki i potrząsnęła głową. Nie, to nie jest żadne ocalenie. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Jej myśli skierowały się w stronę zabójcy.

W głowie zaczął jej się formować jego obraz: cichy, samotny, desperacko poszukujący uwagi, specjalista w sprawach roślin i zwłok. Wyeliminowała alkoholika i narkomana. Był zbyt ostrożny. Minivan wskazywał na posiadanie rodziny, ale działania na to, że rodziny pragnął, nie, że ją posiadał.

Z myślami i obrazami wirującymi w mózgu, Avery pochłonęła jeszcze dwa piwa po czym nagle zasnęła w wygodnym fotelu na tarasie.

Rozdział dziewiąty

W snach Avery znów była z rodziną.

Były mąż był typem sportowca o krótko ostrzyżonych włosach i zabójczych zielonych oczach. Jako zagorzali alpińscy wybrali się z córką, Rose, na wycieczkę w góry. Rose miała zaledwie szesnaście lat i została wcześniej przyjęta do Brandeis College, mimo, że była dopiero w gimnazjum. We śnie Avery Rose miała sześć lat. Śpiewali i szli ścieżką prowadzącą wśród gęstych drzew. Ciemne ptaki z trzepotem skrzydeł i krzykiem wzbijały się w powietrze zanim drzewo przeistoczyło się z mglistego potwora, który podobną do noża ręką dźgnął Rose w pierś.

– Nie! – krzyknęła Avery.

Druga ręka dźgnęła Jacka i zarówno on, jak i jej córka zostali gdzieś zabrani.

– Nie! Nie! Nie! – krzyczała Avery.

Potwór pochylił się.

Ciemne usta wyszeptaly jej coś na ucho.

Nie ma sprawiedliwości.

Avery obudziła się nagle słysząc natarczywy dźwięk dzwonka. Wciąż była na tarasie w szlafroku. Słońce już wzeszło. Telefon dzwonił jak opętany.

Odebrała.

– Black.

– No Black! – odpowiedział Ramirez. – Myślałem, że już nigdy nie odbierzesz. Jestem na dole. Zgarnij swoje śmieci i już cię tam nie ma. Mam kawę i pierwsze wersje portretów pamięciowych.

– Która jest godzina?

– Wpół do dziewiątej.

– Daj mi pięć minut – powiedziała i rozłączyła się.

Sen nadal przenikał jej myśli. Niezgrabnie wstała i weszła do mieszkania. Dudniło jej w głowie. Wciągnęła spłowiałe niebieskie džinsy. Biały T-shirt przybrał funkcje reprezentacyjne, gdy dołączyła do niego czarny blezer. Trzy łyki soku pomarańczowego i baton muesli stanowiły śniadanie. Wychodząc Avery zerknęła w lustro. I jej strój i poranny posiłek dzieliły lata świetlne od garsonek za tysiąc dolarów i codziennych śniadań w najlepszych restauracjach.

– Nie przejmuj się – powiedziała sobie. – Nie idziesz ładnie wyglądać. Idziesz puszkować przestępców.

W samochodzie Ramirez podał jej kubek kawy.

– Nienajlepiej wyglądasz, Black – zażartował.

On, jak zwykle, prezentował się nienagannie: granatowe džinsy, jasnoniebieska koszula zapinana na guziki, granatowa marynarka, jasnobrązowy pasek i buty.

– Nie powinieneś być gliną, tylko modelem – warknęła Avery.

Odsłonił w uśmiechu idealne uzębienie.

– Po prawdzie to kiedyś trochę się tym zajmowałem.

Wyjechał spod wiaty i skierował się na północ.

– Spałaś choć trochę tej nocy? – spytał.

– Raczej nie. A ty?

– Jak dziecko – powiedział z dumą. – Zawsze dobrze śpię. A wiesz, że mnie nic nie rusza?

– Lubię dać się ponieść – powiedział i zamachał ręką w powietrzu.

– Coś nowego?

– Obaj chłopcy siedzieli wczorajszej nocy w domu. Connelly kazał ich obserwować, aby nie czmychnęli. Rozmawiał też z dziekanem, by zdobyć trochę informacji i upewnić się, czy nikt nie świruje z powodu bandy gliniarzy wałęsających się po cywilu na kampusie. Żaden z tych dzieciaków nie był notowany. Dziekan powiedział, że to porządni chłopcy z porządnymi rodzinami. Dzisiaj się

przekonamy. Na razie nie ma niczego od Sary w sprawie rozpoznania twarzy. Powinniśmy się czegoś dowiedzieć po południu. Kilku dealerów samochodów dzwoniło do mnie z nazwiskami i numerami. Przez jakiś czas będę tworzył wykaz i zobaczymy, co się wydarzy. Widziałaś poranną prasę?

– Nie.

Wyciągnął i rzucił jej na kolana. “Morderstwo na Harvardzie” głosił nagłówek wielkimi, wytłuszczonymi literami. Było też zdjęcie z Lederman Park, uzupełnione o mniejsze zdjęcie z harwardzkiego kampusu. Artykuł wewnątrz stanowił przeróbkę głównego artykułu z poprzedniego dnia i uwzględniał mniejsze zdjęcie Avery i Howarda Randalla zrobione, gdy pojawili się razem w sądzie. Cindy Jenkins wymieniono z imienia i nazwiska, ale nie wstawiono zdjęcia.

– Coś jakby spuścili z tonu w mediach? – stwierdziła Avery.

– To biała dziewczyna z Harvardu – odparł Ramirez – pewnie, że to główna wiadomość. Białym dzieciom trzeba zapewnić bezpieczeństwo.

Avery uniosła brew.

– Coś mi to załatuje rasizmem.

Ramirez z aprobatą pokiwał głową.

– Taa – zgodził się. – Pewnie jestem trochę rasistą.

Przebili się przez ulice południowej części Bostonu i skierowali na most Longfellow i do Cambridge.

– Dlaczego zostałeś gliną? – spytała.

– Uwielbiam być gliną – powiedział. – Ojciec był gliną, dziadek był gliną i teraz ja jestem gliną. – Zacząłem studia i szybko awansowałem. Jak tu tego nie kochać? Noszę broń, noszę odznakę. Właśnie kupiłem sobie łódź. Wypływam w morze, relaksuję się, łapię ryby, potem łapię morderców. Kontynuuję dzieło Boże.

– Jesteś wierzący?

– Nie – odrzekł. – Tylko przesądny. Jednak jeśli jakiś bóg istnieje, to chcę, aby wiedział, że stoję po jego stronie. Wiesz, o czym mówię?

– Nie – pomyślała Avery. – Nie wiem.

Jej ojciec był przemocowcem, natomiast matka, która gorliwie chodziła do kościoła i modliła się do Boga, sprawiała wrażenie przede wszystkim fanatyczki.

Głos ze snu powrócił.

Nie ma sprawiedliwości.

– Mylisz się – odparła Avery. – A ja to udowodnię.

* * *

Większość studentów ostatniego roku na Harvardzie mieszkała poza kampusem, w domach stanowiących własność szkoły. George Fine nie stanowił w tym względzie wyjątku.

Peabody Terrace był wysokim budynkiem usytuowanym nad rzeką Charles w pobliżu Akron Street. Biały, dwudziestoczeropiętrowy gmach mieścił eleganckie, wewnętrzne patio, piękne trawniki oraz zapewniał niezakłócony widok na drugą stronę rzeki tym studentom, którzy mieli szczęście i zostali umieszczeni na wyższych piętrach. George znalazł się w ich gronie.

Z Peabody Terrace połączonych było wiele budynków. George Fine mieszkał w Budynku E na dziesiątym piętrze. Ramirez zaparkował samochód przy Akron Street i weszli do środka.

– Tu jest jego zdjęcie – powiedział Ramirez. – Teraz powinien być w łóżku. Pierwsze zajęcia zaczynają się o dziesiątej trzydzięci.

Zdjęcie stanowiło wycinek większej fotografii wyciągniętej z Internetu. Przedstawiało niezadowolonego, niezwykle zadziornego studenta z tłustymi, czarnymi włosami o ciemnych oczach. Zdawał się stawiać fotografowi wyzwanie, czy ten będzie w stanie znaleźć skazę w jego perfekcyjnym wyglądzie. Mocna szczeka i przyjemne rysy skłoniły Avery do zastanowienia, dlaczego określano

go mianem dziwaka. Dlaczego miałyby uganiać się za dziewczyną, która tak jawnie nie była nim zainteresowana?

Ramirez pokazał portierowi swoją odznakę.

– Są jakieś problemy? – zainteresował się portier.

– Wkrótce się dowiemy – odparł Ramirez.

Ruchem ręki skierowano ich do góry.

Na dziesiątym piętrze skręcili w lewo i poszli długim korytarzem. Na dywanie widniał brązowy wzór w kształcie wirów. Drzwi pomalowano błyszczącą, białą farbą.

Ramirez zapukał do mieszkania nr 10E.

– George – powiedział – jesteś w domu?

Po krótkiej chwili ciszy ktoś odrzekł:

– Spadaj.

– Policja – wtrąciła się Avery i załomotała w drzwi. – Otwieraj.

Znów cisza, potem szelesty i kolejna chwila ciszy.

– No już – zawołała Avery. – Śpieszy nam się. Chcemy tylko zadać kilka pytań.

– Macie nakaz?

Ramirez podniósł brwi.

– Dzieciak zna się na rzeczy. Musi mieć najlepsze uniwersyteckie wykształcenie.

– Możemy go mieć w ciągu godziny – zawołała Avery. – Ale jeśli przez ciebie będę musiała wyjść i dwoić się i troić, aby go zdobyć, to się wkurzę. Dzisiaj w ogóle jestem nie w humorze. Zapewniam, nie życzyłybyś sobie przekonać się, jaka jestem, gdy się wkurzę. Chcemy pogadać o Cindy Jenkins. Słyszeliśmy, że ją znalazłeś. Otwórz, a przekonasz się, że potrafisz też być całkiem miła.

Zasuwa się przesunęła.

– Ty to naprawdę umiesz sobie radzić z ludźmi. – zauważył Ramirez.

George pojawił się w koszulce bez rękawów i spodniach od dresu. Był niezwykle umięśniony, o wyrzeźbionej muskulaturze. Miał około 170 cm wzrostu, tyle samo na ile, na podstawie akt Cindy, Avery oceniała wzrost zabójcy. Chociaż sprawiał wrażenie jakby był na prochach lub jakby nie spał od wielu dni, miał wzrok osoby nieustraszonej. Avery przyszło do głowy, czy aby nie był wieloletnią ofiarą nękania, która postanowiła wziąć odwet.

– Czego chcecie? – powiedział.

– Możemy wejść? – spytała Avery.

– Nie, możemy załatwić to tutaj.

Ramirez włożył stopę do pomieszczenia.

– Posłuchaj – powiedział, – wolelibyśmy jednak wejść.

George przenosił wzrok z Avery na Ramireza i na stopę przytrzymującą otwarte drzwi. W końcu ustąpił, wzruszył ramionami i wycofał się.

– Wejdźcie – powiedział. – Nie mam nic do ukrycia.

Pomieszczenie było ogromne, jak na dwie osoby, z częścią mieszkalną, dwoma łózkami po obu stronach pokoju i aneksem kuchennym. Jedno łóżko było starannie posłane, z ubraniami piętrzącymi się w stosach i sprzętem elektronicznym; drugie stanowiło jego dokładne przeciwieństwo.

Na nim właśnie usiadł George. Ręce umieścił wzdłuż ciała chwytając się materaca. Sprawiał wrażenie, jakby w każdym momencie mógł rzucić się naprzód.

Ramirez stał przy oknie tarasu podziwiając widok.

– Nieźle mieszkanie – powiedział. – Niby tylko kawalerka, ale ogromna. No i ten widok. Wow. Chyba lubisz patrzeć na rzekę.

– Przejdźmy do rzeczy – rzekł George.

Avery wysunęła krzesło i siadła twarzą do George'a.

– Prowadzimy sprawę morderstwa Cindy Jenkins – powiedziała. – Doszliśmy do wniosku, że być może będziesz mógł nam pomóc, jako że byłeś jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą.

- Mnóstwo ludzi widziało ją żywą.
Słowa miały zabrzmieć stanowczo, ale w jego oczach czaił się ból.
- Odnosimy wrażenie, że ci się podobała.
- Kochałem ją – powiedział. – I co z tego? Ona nie żyje. Nikt nie może mi pomóc.
Ramirez i Avery spojrzeli po sobie.
- Co to oznacza? – spytał Ramirez.
- Jak rozumiem – podjęła Avery – wyszedłeś z imprezy tuż po niej.
- Nie zabiłem jej – oświadczył. – Jeśli o to wam chodzi. Wyszedłem z imprezy, ponieważ ona dosłownie wytoczyła się przez drzwi. Martwiłem się o nią. Nie mogłem jej znaleźć, gdy zszedłem na dół. Musiałem pożegnać się z paroma osobami. Popytać. Taka jest prawda.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.